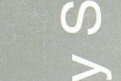
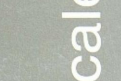
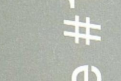
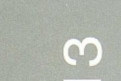
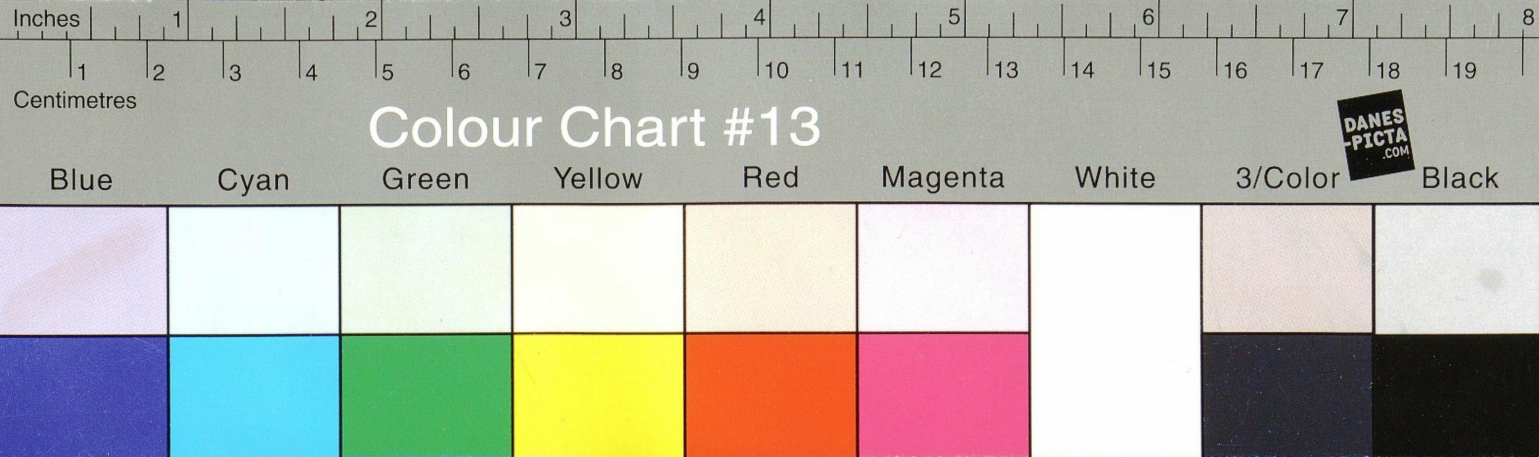


DANES-PICTA.COM

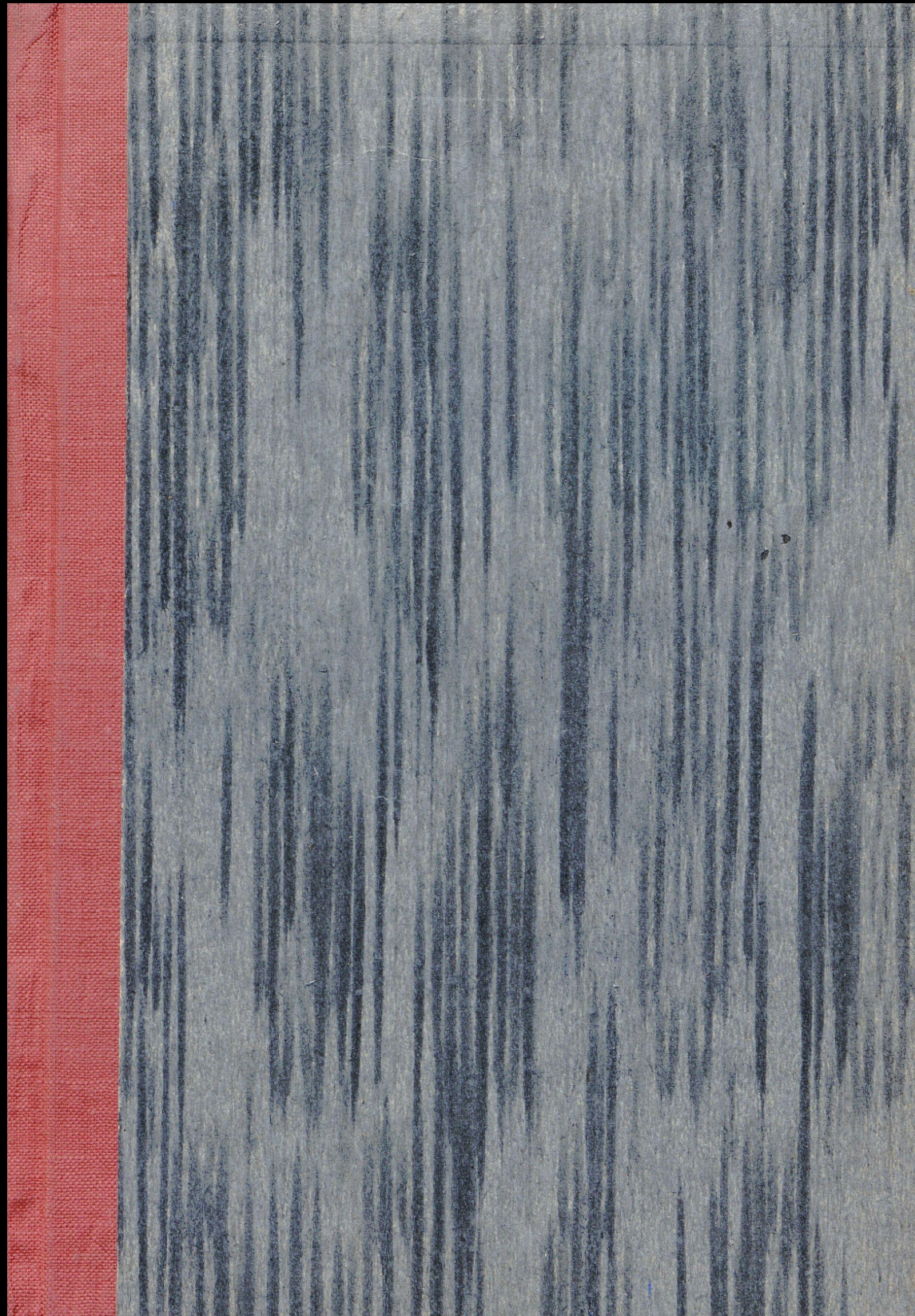


Grey Scale #13

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



DANES-PICTA.COM



NAJAZD CYWILIZACJI

TŁOCZONO
W ZAKŁADACH
GRAFICZNO-
INTROLIGATOR.
J. DZIEWULSKI
WARSZAWA,
SENATORSKA 10

M A R E K R O M A Ń S K I

NAJAZD CYWILIZACJI

W A R S Z A W A 1936

SKŁAD GŁÓWNY: DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE



Okladka według włoskiej pocztówki propagandowej wykonana w chemigrafii
K. Treliński, Warszawa, ul. Nowy-Swiat 39.

„-Ja myślę, że każdy człowiek ma dwie ojczyzny: jedną swoją, najbliższą, a drugą: Włochy. Bo tylko zastanowić się, to i cała kultura, i cała sztuka, i cała wiedza, wszystko szło stamtąd... Weźmy ot taki renesans... Prawdziwie!...Wszyscy są, jeśli nie dziećmi, to przynajmniej wnukami Włoch.“

HENRYK SIENKIEWICZ

KRÓL WŁOSKI
WIKTOR EMANUEL III



WÓDZ ITALJI
BENITO MUSSOLINI

OBLICZE PRAWDY

Od roku blisko kwestja abisyńska nie przestaje zajmować opinii całego świata. Od chwili słynnego i historycznego już incydentu pod Ual-Ual, poprzez perypetje ligowe, poprzez genewskie narady, poprzez zakulisowe targi wielkich mocarstw, poprzez sankcyjne uchwały, poprzez komunikaty z terenów wojny — z erytrejskiego i somalijskiego frontu — w różnych nastrojach śledzą kolejne stadja owej dramatycznej sprawy całe narody i społeczeństwa, oraz poszczególne społeczne grupy, dla których wojna abisyńska jest czemś więcej, niż zwykłą wojną. Bo też jest istotnie czemś więcej, niż zwykłym zbrojnym starciem dwu państw — skoro z jednej strony istnieją czynniki nie znajdujące słów potępienia dla faszystowskiej Italji, a z drugiej strony francuska młodzież narodowa w Paryżu nie dopuszcza konsekwentnie do wykładów profesora Jeze, osławionego negusowego adwokata w Lidze Narodów.

Żadna wojna kolonialna nie wywołała jeszcze w świecie takiego zamętu zarówno faktów, jak i pojęć, żadna wojna kolonialna nie uczyniła tak groźnem i tak bliskiem widma nowej światowej pożogi, żadna nie stała się tak ważką rozgrywką światopoglądów, jak włoska wyprawa w Afryce Wschodniej. Można śmiało powiedzieć, że przy tym roźnie każdy chce upiec pieczeń swego państwowego lub społecznego egoizmu i dlatego też żadna oddawna kwestja o ogólnem znaczeniu nie była tak bardzo osnuta siecią intryg i osłonięta atmosferą fałszów i kłamstw.

Daleka, za górami i pustyniami leżąca Abisynja, stała się naraz przedmiotem powszechnego zainteresowania. Więcej, niż zainteresowania! Dla bardzo wielu jest jeszcze po dziś dzień kwestją zbiorowego sumienia, a miarą niewątpliwego pomieszczenia pojęć jest naprzykład sugestia angielskiego tygodnika „Star”, który nie wahał się wypowiedzieć zdania, że oto dokonuwa się rozbiór Abisynji, tak potworny w swej dziejowej nie-

sprawiedliwości, jak rozbiory Polski. Jeżeli miało to być propagandowe posunięcie, to niesmaczna — powiedzmy — przesada tygodnika „Star“ wydała swe owoce i sugestia owa bardzo szeroko przyjęła się w Polsce. Nikt nie powiedział, że porównanie takie jest obelgą, nikt nie wyjaśnił szanownemu redaktorowi tygodnika „Star“, że pradziadowie nasi w 1772 roku nie żywili się surowem mięsem i nie tonęli w najgrubszych zabobonach, że nie uznawali niewolnictwa i handlu kobietami za boską instytucję. Ta sama propaganda czyniła usiłowania, by przekonać Europę, że pomiędzy faszyzmem i jego wodzem, a narodem włoskim rośnie z dnia na dzień przepaść właśnie na tle kwestji abisyńskiej, — ta sama propaganda pracowała nad tem, by wmówić w świat, że nastroje mas w Italji są przeciwne wyprawie w Afryce Wschodniej, stawiała wreszcie w wątpliwość doskonałość organizacyjną armji włoskiej, wróżąc klęskę Włochom, a upragniony koniec faszystowskiemu reżimowi.

Wystarczy spojrzeć na mapę polityczną świata, by sam rzut oka przekonał każdego, że podział terytorjów zamorskich, a tem samem podział kolonij i surowców nie jest właściwy i że w żadnym wypadku nie może on zadowolić wielu narodów, których prężność ekspansywna rośnie z każdym rokiem.

Do owych narodów należą w pierwszym rzędzie Włochy, Włochy duszące się coraz bardziej na swym wąskim półwyspie, Włochy, wobec których traktat wersalski nie spełnił dawanych w czasie wojny obietnic.

Przed wojną światową setki tysięcy Włochów opuszczało rokrocznie kraj macierzysty. Zmuszeni do poszukiwania chleba, emigrowali za ocean — do Stanów Zjednoczonych i Ameryki Południowej. Gdy po wojnie światowej wrota emigracji zostały zatrzęsnięte, Włochy ze swoim nadmiarem ludności znalazły się wprost w sytuacji bez wyjścia. W tych warunkach potrzeba nowych kolonij stała się jeszcze bardziej palącą. Pod tym względem niema w Italji żadnych różnic i włoski arystokrata zapatruje się na tę kwestję tak samo jak włoski robociarz. „Włochy szukają dla siebie miejsca pod słońcem“ — powiedział Mussolini, a słowa jego wyrażają jedynie myśl i pragnienie ogółu. Włochy potrzebują nowych terytorjów, nie tylko ze względu na surowce, ale również w tym celu, by na terytorja owe skierować strumień swej narodowej emigracji.

Większość kolonij nie spełnia w tej chwili zadania zawar-

tego we właściwym sensie tego pojęcia. Nie służy kolonizacji, nie pochłania nadmiaru mieszkańców przeludnionych państw Europy, lecz jest jedynie źródłem eksploatacji surowców, eksploatacji często rabunkowej i nieoglądającej się na nic. W olbrzymich kolonjach brytyjskich przypada na tysiąc mieszkańców zaledwie jeden Anglik, w szczupłych zaś włoskich posiadłościach kolonialnych dwudziestu dwu Włochów na tysiąc mieszkańców. Ta statystyka jest bardzo wymowna i dowodzi w jaki sposób pojmują Włosi posiadanie kolonij, dowodzi, że chcą oni w pełnym znaczeniu tego słowa kolonizować należące do nich terytoria.

Cóż się jednak stało, gdy Włochy zwróciły swe oczy na Abisynję, kraj dziki i ciemny, stojący na najniższym stopniu cywilizacji i kultywujący najpotworniejsze, a krwawe zabobony, kraj, gdzie po dziś dzień kwitnie niewolnictwo — największa hańba ludzkości — coś się stało, gdy Włochy podjęły usiłowania zabezpieczenia swych interesów w Abisynji, którą oddawna uważały za strefę swoich wpływów? Zaczęły się dziać wówczas rzeczy dziwne. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozpoczął się koncentryczny atak już nie tylko na Włochy, ale na ustrój wewnętrzny tego państwa. Wytoczono przeciwko Italii działa największego kalibru, ogłaszając Włochy za napastnika i wprowadzając w życie sankcje.

Pierwsza ruszyła do ataku Anglia — państwo posiadające największe posiadłości kolonialne na świecie, o którego metodach wiele mówiono w Europie w okresie wojny burskiej. Anglia, która swego czasu pogrzebała protokół genewski i prowadziła stałą frondę przeciwko Lidze Narodów, stała się nagle najwierniejszym i najbardziej gorliwym obrońcą tejże samej Ligi. Wśląd za Anglią poszły wszystkie ciemne i wywrotowe siły, którym nic bardziej nie byłoby na rękę, jak pogrzebanie faszystowskich idei. Masoni, socjaliści i komuniści stali się w tej sprawie wiernymi sojusznikami Anglii. Martwą zasadę wyniesiono ponad praktyczne nakazy życia, zignorowano fakty i dokumenty i zamiast zadać sobie pytanie, czy nie jest to wielką omyłką, że kraj tak barbarzyński, jak Abisynja jest członkiem Ligi Narodów, gilotynując dyskusję, ogłoszono Italię za napastnika i nie wahano się w okresie tak wielkiego zamętu ekonomicznego wyrzucić Włochy poza nawias gospodarczy Europy, proklamując wprowadzenie sankcji.

A wielka szkoda, że zakulisowe siły nie dopuściły w Gene-

wie do dyskusji nad kwestją abisyńską. Szeroki ogół dowiedziałby się wtedy, że Abisynja systematycznie nie dotrzymywała umów politycznych i ekonomicznych, że ani jeden punkt traktatu włosko-abisyńskiego nie został dotrzymany. Dowiedzieliby się, że Abisynja — kraj bez granic, bez odpowiedniej organizacji państwowej — ma na swem koncie dwadzieścia pięć napaści na włoskie placówki dyplomatyczne i konsularne, że uzbrojone bandy abisyńskie pięćdziesiąt jeden razy wkraczały na terytorjum bezspornie włoskie, mordując, grabiąc i uprowadzając niewolników.

Przyznajmy szczerze, że był czas, kiedy Włochy znajdowały się w liczbie państw sprzyjających przyjęciu Abisynji do Ligi Narodów. Stało się to niewątpliwie z pobudek idealistycznych, z wiary i przekonania, że Abisynja, należąc do Ligi Narodów, zostanie zachęcona i zdopingowana do wyjścia z kręgu nędzy, ciemnoty i okrucieństwa, że władcy owego kraju dają się poprostu w ręce możliwość nadrobienia wiekowych zaniedbań i dźwignięcia owych nieszczęsnych abisyńskich szczepów, wymierających wśród gór i pustyń wskutek głodu i chorób, na wyższy stopień kultury i cywilizacji. Włochy popełniły wówczas błąd, za który przyszło im dziś ciężko odpokutować. Pochód cywilizacji nie posunął się w Abisynji, ani o krok naprzód; nieustannych napaści band abisyńskich władza negusa nie mogła, nie umiała, czy nie chciała opanować. Lidze Narodów również było obojętne zabezpieczenie mienia, życia i przyszłości obywateli włoskich, a skoro fakty przekonały Włochów o niemożliwości pokojowej penetracji, uznali za jedyne wyjście zbrojną ekspedycję policyjną. Gdyby Liga Narodów zadała sobie trud sumiennego rozważenia zagadnienia, czy napastnikiem tym są Włochy....

Były jednak czynniki, — które bez trudu możnaby wskazać palcem — czynniki, którym zależało, by faszystowska Italia została uznana za napastnika. Dziś już wszystko staje się coraz bardziej jasne, dziś widać coraz jaskrawiej, jakiej to gry ofiarą miała paść nie tylko Italia, ile znenawidzony ustrój faszystowski. Dziś już wiadomo, dzięki dokumentom opublikowanym niedawno przez „Giornale d'Italia“, że początkowo angielski „Foreign Office“ nie miał nic przeciwko okupacji Abisynji przez wojska włoskie, że Anglia dopiero wtedy powiedziała „nie“, gdy w Erytrei zgromadzone zostało dwieście tysięcy wojsk włoskich, że do-

piero wtedy dostrzegła, iż plany Mussoliniego zagrażają tradycyjnej brytyjskiej „linii imperjalnej”, gdy rząd włoski w żadnym wypadku nie mógł się już cofnąć. Była to, jakgdyby próba wciągnięcia Italii w pułapkę.

Dziś — powtarzamy — wszystko staje się coraz to bardziej jasne. Słynne propozycje Laval'a i Hoare zerwały maskę idealizmu z oblicza Anglii, dowodząc, że Liga Narodów stała się pro prostu parawanem, za którym ukryto egoistyczne interesy. Dziś już wiadomo, że socjalistyczne i komunistyczne międzynarodówki podały sobie ręce, wężąc sposobną chwilę, by porachować się z faszyzmem, z ustrojem faszystowskim i z faszystowskimi ideami.

W tym celu nie zaniedbano niczego, zrobiono wszystko, by przekonać świat, że Włochy dokonywują strasliwej zbrodni na biednej, bezbronnej i spokojnej Abisynji. Nie cofnięto się przed żadnym fałszem, by zohydzić Włochów jako napastników.

Czy Włosi są istotnie napastnikami?

To słowo „napastnik” zastępuje w bardzo wygodny sposób konieczność logicznego argumentowania. Ci jednak, którzy powtarzają wkółko, że Włosi to napastnicy i grabieżcy, grzeszą zupełną nieświadomością nad wyraz żalosnej abisyńskiej rzeczywistości.

Cóż można zagrabieć, cóż można odebrać tym czarnym ludziom, stojącym na najniższym i najprymitywniejszym stopniu kultury? Czy wolność?... Ale przecież oni są niewolnikami. I obecni władcy Abisynji — Amharowie — i ci, którzy noszą jarzmo — wszyscy są niewolnikami. Niewolnikami ciemnoty, niewolnikami przesądów, niewolnikami okrutnych, krwawych praktyk, niewolnikami koptyjskiego zabobonu, niewolnikami małych, rozwydrzonych kacyków i notablów miejscowych. Gdyby ci, którzy bez złej woli Włochy potępiają, — bo na złą wolę niema lekarstwa — zdobyli się na odrobinę obiektywizmu, gdyby przekonali się, że Włosi pokazali już co umieją, czyniąc swe kolonie najlepiej zagospodarowanymi kolonjami świata — pojęliby, że ta „włoska niewola” nawet chcąc nie chcąc musi się stać jedynie dobrodziejstwem dla owego kraju, tak samo zresztą jak każda inna penetracja białych. Wszystko bowiem jest lepsze i bardziej ludzkie od owego abisyńskiego piekła.

A więc skoro nie wezmą im wolności, — powie ktoś — wyzują ich z ziemi. Ale i tego Włosi nie uczynią, bo nie można wyzuc nikogo z tego, czego ktoś nie posiada. Bo i cóż z tego, że ziemi jest aż nadto w Abisynji, skoro Abisyńczycy ani nie umieją uprawiać roli, ani też nie mają możliwości wyzyskania olbrzymich terenów. By użyźnić ziemię abisyńską trzeba przeprowadzić odpowiednie roboty irygacyjne, trzeba bić studnie artezyjskie i wydobywać podskórną wodę, a o tem przecież nie może mieć pojęcia ludność, która nie zna użycia koła, która nie wie, co to wóz i pług. Ziemia w Abisynji leży niewyzyskana, a tubylcy głodują i wymierają powoli. I cóż włoscy napastnicy, idący włąb Abisynji mogą wziąć owym materialnym i moralnym nędzarzom?

Przeludnione Włochy potrzebują nowych terytoriów — i to jest jedna prawda, ale drugą prawdą jest, że w Abisynji znajdzie się dość miejsca i dla tubylców i dla włoskich kolonistów.

— — — — —

Sprawa włoska nie jest w Polsce popularna. Wśród licznych oskarżycieli obok masonerii i mdłych pacyfistów stoją ramie przy ramieniu konserwatywni publicyści wraz z komunistami. Zbyt mało rozumie się w Polsce, że każdy kto uderza w faszyzm i w faszystowską Italię, pracuje na rzecz Kominternu. Ale choć sprawa włoska nie jest popularną w Polsce i choć pod tym względem panuje u nas kompletne pomieszanie pojęć, nie znaczy to przecież, by sprawa ta nie miała być sprawą słuszną, by nie miała znaleźć obrońców.

Książka ta nie ma wcale zamiaru objęcia całokształtu włosko-abisyńskiego konfliktu. Jest ona jakgdyby szeregiem zdjęć fotograficznych, jakgdyby odcinkiem filmowej taśmy. Piszący te słowa bawił na północnym froncie włosko-abisyńskim w charakterze korespondenta wojennego „Gońca Warszawskiego”. Odbił drogę z Neapolu do Massaua na pokładzie wojskowego transportowca włoskiego, wiozącego żołnierzy do Erytrei, zwiedził szereg placówek w pierwszych liniach frontu. Wrażenia swe notował na gorąco, po dziennikarsku. Mają one dlatego wartość bezpośredniości. Nie starają się być propagandą, — są tylko prawdą. Prawdą tembardziej szczerą, że był czas kiedy autor nie krył się ze swym krytycznym stosunkiem do faszyzmu włoskiego i jego poczynañ. Gdy poznał faszyzm — zmienił zdanie.

ITALIA POD ZNAKIEM WOJNY

I.

Wojna włosko-abisyńska jest wojną narodową.

We wszystkich sklepach w Rzymie, we wszystkich lokalach — zarówno w oknach dużych, pierwszorzędnych restauracjach i wielkich magazynów śródmiejskich, jak i w małych osteriach i ubogich sklepikach, mieszczących się w starych, krętych uliczkach nad Tybrem — wszędzie istnieją na wystawach mapy Abisynji, a na nich chorągiewkami o barwach narodowych, oznaczane są ruchy wojsk włoskich. Chorągiewki takie, sprzedawane w cenie dwu lirów za torebkę, stały się osobną gałęzią handlu i znajdują masowo odbiorców we wszystkich sklepach z papierem i przyborami do pisania.

W magazynach z zabawkami dla dzieci ogromnym popytem cieszą się ołowiane figurki żołnierzyków, przedstawiające dwie wrogie sobie armje — włoską i abisyńską. Witryny księgarskie zarzucone są publikacjami odnoszącemi się do kwestji abisyńskiej i broszurami, traktującemi o włoskich zagadnieniach kolonialnych. Dzienniki włoskie, bijące zawsze wielkie nakłady — poza któremi daleko w tyle pozostają nakłady dzienników w Polsce — teraz powiększyły je bardzo wydatnie, a każde nowe wydanie jest rozchwytywane przez ludność, oczekującą z niecierpliwością wiadomości z terenu wojny. W wielu kioskach pojawiły się już samouczki tubylczego djalektu, używanego w prowincji Tigre, a reklama na okładkach głosi, że język ten opisać można już w przeciągu kilku godzin.

Rzym żyje wojną, a zarazem świadomością, że Italja zdąża naprzeciw wielkim wypadkom, że państwo wkroczyło istotnie w historyczną godzinę swego istnienia. Poza przejawami, opisanemi powyżej, nic jednak nie zdradza tego, że jesteśmy w stolicy kraju, którego trzystotysięczna armja walczy na dwu ciężkich frontach — erytrejskim i somalijskim.

Ulica rzymska jest spokojna, a spokój ten wypływa z głębokiej wiary w słuszność sprawy, o którą walczą Włochy. Każdy Włoch, stykając się z cudzoziemcem przybyłym do Italji, zaczyna natychmiast rozmowę o konieczności ekspansji terytorjalnej i o potrzebie zdobycia nowych kolonij, o tem, że podbój Abisynji jest dziełem cywilizacji, że Włochy wzięły na siebie pionierską służbę wprowadzenia gruntownych przemian w kraju niemal zupełnie jeszcze dzikim. Każdy Włoch z dumą cytuje cyfrę niewolników, którym okupacja włoska przyniosła dotąd wolność, egzaltuje się informacjami o szlakach komunikacyjnych, budowanych niemal w ogniu walk, każdy Włoch notuje skrzętnie każdy objaw przychylności ze strony tubylczej ludności — przychylności wobec oddziałów włoskich. Propaganda włoska, jak zawsze, działa wspaniale i bez zarzutu. W piśmie rzymskich pojawiły się już fotografie włoskich traktorów pracujących na ziemiach abisyńskich, leżących dotąd odłogiem.

Niepewna sytuacja polityczna, ogłoszenie sankcyj, ruchy floty angielskiej na Morzu Śródziemnem — wszystko to sprawiło, że ruch turystyczny we Włoszech ustał niemal zupełnie. W pierwszym rządzie opuścili Italję wszyscy turyści angielscy. A w stosunku do Anglji istnieje we Włoszech gniew, nienawiść i głębokie rozgoryczenie. To ostatnie uczucie jest być może nawet dominujące — nawet silniejsze od nienawiści. Ton prasy rzymskiej wobec Anglji jest bardzo ostry i surowy. W czasie manifestacyj, szczególnie z ust młodzieży, padają wrogie okrzyki pod adresem Anglji i okrzyki te znajdują oddźwięk.

Drożyzna wzrosła od chwili rozpoczęcia kampanji. Jest to objaw naturalny. Nie brakło i takich, którzy na wojennej konjunkturze chcieli zrobić łatwy interes przez sztuczne wyśrubowywanie cen. Objawom tym wypowiedział faszyzm ostrą walkę. Przy kierownictwie partji utworzono specjalną komisję, której zadaniem jest zwalczanie wszelkich objawów lichwy żywnościowej. Środki stosowane przez tę komisję są bardzo surowe i polegają na usuwaniu winnych z organizacji kupieckich, a nawet na odbieraniu koncesyj.

Pomimo spokoju Włosi zdają sobie jasno sprawę z sytuacji i nie zamykają oczu na rzeczywistość. Wiedzą, że idą ciężkie czasy, lecz narodową ambicją jest przetrzymanie tych czasów, zaciśnięcie pasa, ile się tylko da. Tak kazał i tak powiedział „Il duce“, a wiara w Mussoliniego jest bezgraniczna. „Il duce

ce“ wie co robi, „Il duce“ przewidział wszystko. Dopóki „duce“ myśli i pracuje w „Palazzo Venezia“ — Italia może spać spokojna. I Italia jest spokojna.

Gdzież bardziej każdy nastrój powinien znajdować wyraz w pieśni, jak nie właśnie tutaj?... Wojna włosko-abisyńska ma już swoją piosenkę, której słowa lepiej, niż całe tomy dziennikarskich komentarzy, ilustrują stosunek włoskich mas do afrykańskiej wyprawy. Melodyjna ta piosenka nosi nazwę „Facceta nera“ — „Czarna twarzyczka“ i obiega dziś całe Włochy.

Śpiewają ją pułki, udające się z neapolitańskiego portu do Massaua, grają ją orkiestry wojskowe i orkiestry milicji faszystowskiej, nuca ją młode głosy chłopców z „Balilli“. Wyparła ona nawet częściowo słynną „Giovinezze“ — produkowana jest niezliczoną ilość razy w ciągu każdego wieczoru w restauracjach, kawiarniach i nocnych lokalach wśród aplauzów i wybuchów zapалу, o jakich nie ma się u nas pojęcia. Słowa tej piosenki zwrócone są do „pięknej Abisynki“, której oddziały włoskie, niosąc na trójkolorowych sztandarach oswobodzenie, niosą jedną tylko niewolę — niewolę miłości, dając wzamian wolność życia i myśli.

Publiczność podchwytuje refren tej piosenki. „Czarna twarzyczko, mała Abisynko — mówi on — czekaj i miej nadzieję, że niedługo już będziemy z tobą, że damy ci nowe prawa i nowego króla...”

Tak śpiewają Włosi. I co ważniejsze — wierzą w to, co śpiewają.

II.

Było to w dzień narodowego święta. Święta, obchodzonego pod znakiem wojny kolonjalnej, pod znakiem sankcyj — w obliczu ciężkich chmur, zbierających się nad Italia.

Około południa na Placu Weneckim zebrał się tłum ludzi. Tłum zbity, zwarty głowa przy głowie, tłum, w którym nie brakło przybyszów z prowincji, tłum, złożony z ludzi wszystkich warstw, tłum, który zebrał się samorzutnie pragnąc zobaczyć „Il duce“. W tłumie owym uderzała bardzo wielka ilość księży.

Gdy rozeszła się wieść, że Mussolini przybył do Palazzo Venezia, tłum począł go wywoływać i wówczas miałem sposobność być świadkiem w jakiej mierze człowiek ów wywiera niesamowity wprost wpływ na masy włoskie. Gdy, przybrany w

mundur szefa milicji faszystowskiej, wyszedł zamaszystym krokiem na balkon, gdy uśmiechnął się do tłumu, gdy podniósł rękę w dobrze znanym, energicznym ukłonie — owe tysiące zgromadzone na Placu Weneckim ogarnął prawdziwy szal. To już nie było przywitanie męża stanu. To było powitanie proroka. Rozległy się wołania „Patrzcie! Oto on! Oto on!”

Ojcowie i matki podnoszą dzieci na rękach, by mogły lepiej zobaczyć wodza.

— Zapamiętaj go sobie! Zapamiętaj dobrze! Na całe życie! — powtarza nieprzytomnie i żarliwie, stojący obok mnie robotnik włoski, trzymający na ramieniu czteroletniego chłopczyka. Czapki i kapelusze wylatują w górę. Twarze są wybladłe i wykrzywione ekstazą. Plac bije w niebo jednym okrzykiem „Duce! Duce!”.

Mussolini cofał się i znów kilkakrotnie ukazywał na balkonie, aż wreszcie dał znak ręką, że chce przemówić i momentalnie cisza zaległa olbrzymi plac, jakgdyby ci rozkrzyczani ludzie zamienili się w posągi. Mussolini powiedział kilka krótkich, jędrnych zdań, kilka dumnych zdań o jedności Italji w obliczu ciężkich prób, o wspólnocie dążeń wszystkich Włochów, o starych rachunkach dziejowych, które wymagają wyrównania.

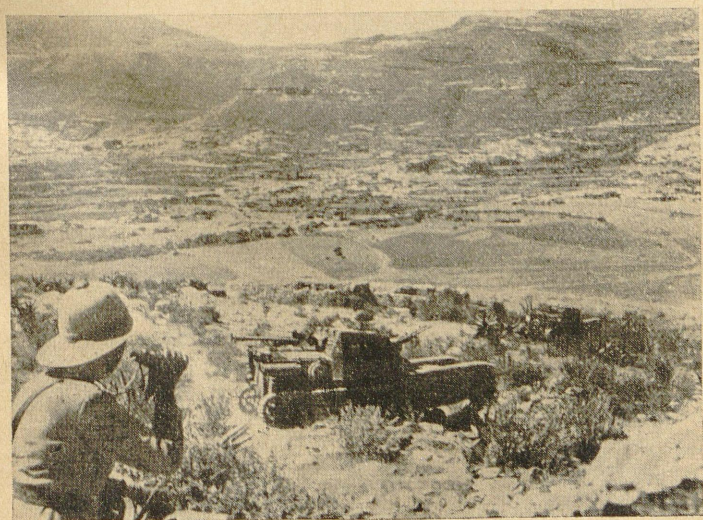
Wystarczyło spojrzeć na falujący morzem głów Plac Wenecki, by zrozumieć, że „il duce” może te setki i tysiące zaprowadzić za sobą, dokąd zechce i jak daleko zechce.

Dziś pozyskał sobie słuchaczy lakonicznem, mocnem przemówieniem — dzień przedtem podbił serca pięciuset nagrodzonych wieśniaków i kolonistów, opowiadając im w prostych słowach o tem, jak to niektórzy ludzie, wertujący księgi znaleźli dokumenty, dowodzące, iż pochodzi ze szlacheckiej rodziny. Chcieli mu tem zrobić przyjemność, ale to nie jest prawdą, bo on związany jest z ziemią, bo jego pradziadowie i dziadowie zawsze byli związani z ziemią i uprawiali ją własnymi rękoma.

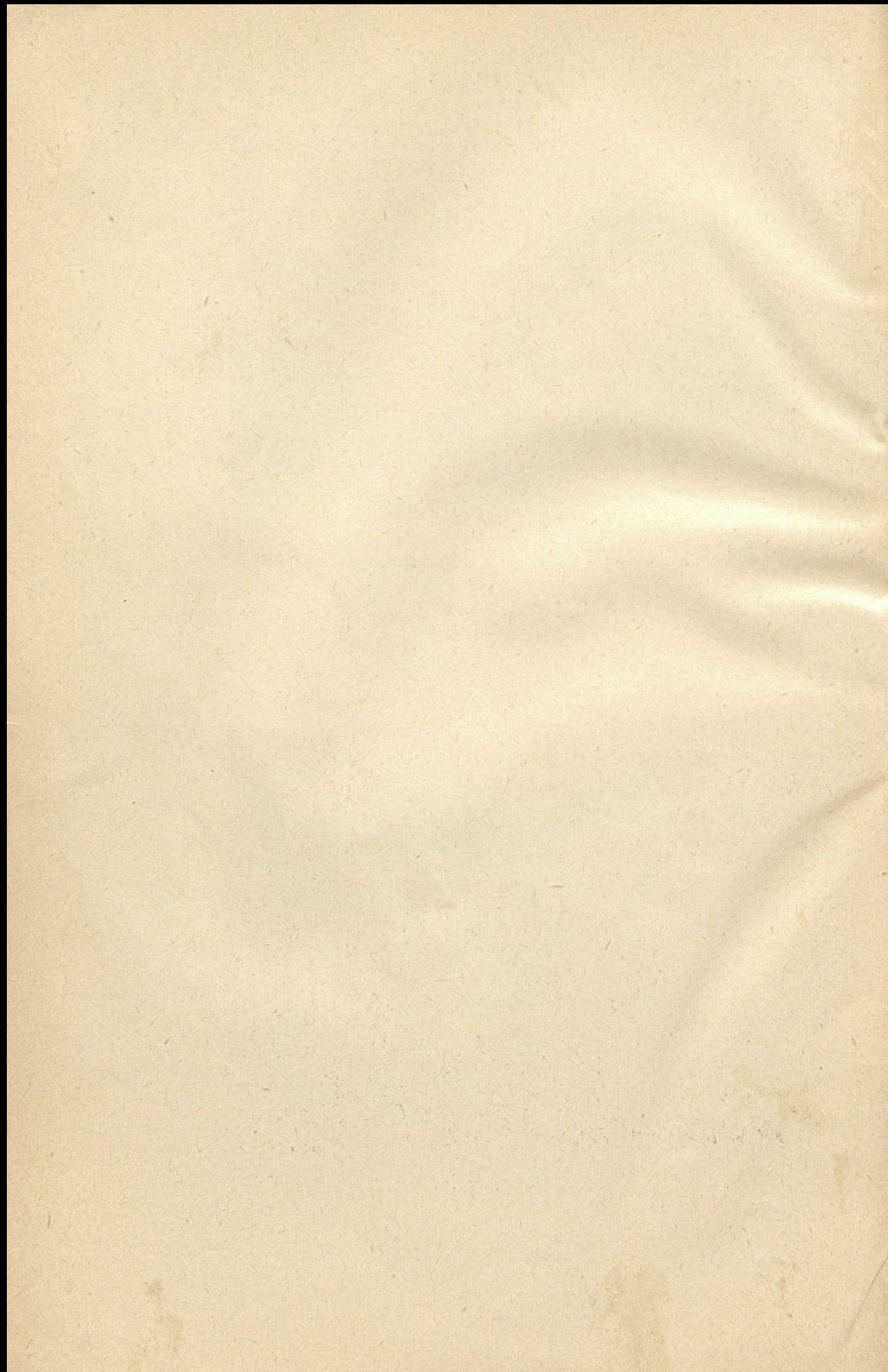
Mussolini wie zawsze co powiedzieć i jak nikt zna psychikę swego ludu. Wystarczy raz zobaczyć owe niewzruszone zaufanie, ową cześć, jaką jest otaczany on i jego imię, by zrozumieć, że jakiegokolwiek próby wbicia klina pomiędzy niego i masy, czy to próby podjęte w Genewie za inicjatywą pana Edena, czy też próby inne — muszą spalić na panewce i wyrzucić skutek wręcz



Włoska kolumna wojskowa na drodze koło Macalle



Czołgi włoskie w terenie



przeciwny. Tajemnicą Mussoliniego jest to, że potrafił wskazać swemu narodowi wielkość i naród łaknie tej wielkości.

W jednym z rozkazów do „Czarnych Koszul“ całej Italji powiedział on: „To jest epoka, z której trzeba być dumnym, iż w niej się żyje i walczy“. Słowa te powtarza sobie każdy Włoch i gotów jest istotnie na najcięższe ofiary.

Gdy w rocznicę marszu na Rzym, punktualnie o godzinie dwunastej w południe ponad „wiecznem miastem“ defilowało czterysta bojowych samolotów — niby spełnienie słów Mussoliniego o skrzydłach włoskich, które przesłonią słońce — pewien Włoch, z którym rozmawiałem, człowiek, mogący reprezentować opinię przeciętnego obywatela, powiedział do mnie:

— Włochy nie ustąpią. Nie znajdzie się wśród nas nikt, kto byłby zdania, iż Italja powinna ustąpić. Jeżeliby doszło do wojny z Anglią nie będzie Włocha, któryby nie wziął w tej wojnie udziału. Italję można powalić przemocą, ale kosztem takich ofiar, że dobrze powinni się zastanowić ci, którzy by chcieli uciec się do przemocy...

III.

Nigdy jeszcze pozycja Mussoliniego nie była tak silna, jak obecnie, nigdy nie miał on tak mocnego i powszechnego poparcia wśród narodu, jak właśnie w obecnych trudnych chwilach. Oto wrażenie, które musi się narzucić każdemu bawiącemu we Włoszech cudzoziemcowi.

Niewątpliwie pomiędzy dyktatorem, a temi, czy innemi sferami i warstwami społeczeństwa były jeszcze pewne różnice, pewne zale z dawnych czasów, istniały przeciwieństwa w zapatrywaniach i sposobie przeprowadzania tych, czy innych kwestyj; tu i owdzie zaznaczała się jeszcze pewna rezerwa, ale wypadki ostatnich miesięcy zburzyły wszelkie zapory, przyniosły zapomnienie starych uraz. Jeżeli mówi się dzisiaj, że cała Italja jest jednolita, że cała zespolona jest z faszyzmem i z osobą Mussoliniego — to nie jest to efektowny frazes, lecz rzetelna prawda. Nawet Toskanja — ostatnia twierdza demokratycznych nastrojów, Toskanja, gdzie wobec obecnego reżimu istniała największa rezerwa, wywiesiła dziś na swych murach faszystowskie sztandary.

Z kimkolwiek by się we Włoszech mówiło, do jakiegokolwiek zwracałoby się warstwy społeczeństwa — wszędzie odpo-

wiedź będzie jedna i ta sama. „Il duce“ reprezentuje i symbolizuje w obecnej chwili całą walkę, wszystkie dążenia i całą okrzepłą dumę narodową Italji, boleśnie zranioną uchwałami genewskimi. Czynnikiem, który obalił ostatnie zapory między narodem, a dyktatorem była — Anglja.

Włochów nie trzeba pytać jaki jest ich stosunek do Mussoliniego. Wystarczy, by zmiarkowali, że mają do czynienia z cudzoziemcem, a zaraz pytają: „Czy widział pan już Mussoliniego? Co sądzi pan o „Il duce“? Prawda, że to największy dziś człowiek w Europie? To on z nas zrobił mocarstwo. Wystarczy wspomnieć czem byliśmy przedtem...”

Takie i tem podobne zdania słyzy się na każdym kroku. Jest rzeczą poprostu zastanawiającą, jak głęboko w duszę Włochów, wszystkich warstw i wszystkich klas, zapadła krzywda, wyrządzona Italji przez traktat wersalski i przekonanie o konieczności posiadania kolonij. Czyż trzeba udowadniać, że jeżeli idzie o moralne poparcie, Mussolini może z tego powszechnego przekonania czerpać go tyle, ile zechce?

Niemalęm wzmocnieniem pozycji Mussoliniego jest stanowisko Città del Vaticano. Pomiedzy rządem włoskim, a Stolicą Apostolską nigdy jeszcze nie było tak dobrych i szczerych stosunków, jak obecnie. Miałem sposobność rozmawiać w Rzymie z pewną osobistością, doskonale poinformowaną i stojącą bardzo blisko Watykanu. Osobistość ta w takich słowach scharakteryzowała sytuację:

— Stolica Apostolska, — powiedziano mi — wierna swemu posłannictwu, pracuje usilnie nad wyrównaniem różnic i nad przywróceniem pokoju, zajmując stanowisko całkowicie bezstronne. Nie trzeba także zapominać, że papież jest Włochem i że nie może mu być obca, ani też obojętna nędza ludu włoskiego, wywołana przeludnieniem kraju i zamknięciem możliwości emigracyjnych...

Tak samo przedstawia się sprawa z całym klerem włoskim, bo religja — jak zaznaczył dalej mój informator — nie każe człowiekowi wyrzekać się miłości ojczyzny. A zresztą nie trzeba zapominać, że faszyzm dał rozwiązanie kwestji rzymskiej w układach laterańskich, że faszyzm przeprowadził na terenie Włoch likwidację łóż masonskich i zawarł korzystny dla kościoła konkordat. Upadek obecnego reżimu stawiałby te wszystkie korzyści pod znakiem zapytania.

Widomym znakiem owego ustosunkowania się Watykanu i kleru do obecnej sytuacji politycznej Włoch jest komentowany szeroko charakterystyczny fakt, że Città del Vaticano skreśliło wszelkie zamówienia angielskie, jakie już były poczynione, dając w ten sposób dowód solidaryzowania się z całym społeczeństwem włoskim.

Uchwalenie sankcyj i terminu, od którego mają one zacząć działać, wywołało w Italji nową falę goryczy. Z racji rocznicy zwycięstwa włoskiego pod Vittorio Veneto w 1918 roku, wszystkie dzienniki podkreślały, że Anglja i Francja zapomniały szybko, iż dla wspólnej sprawy zginęło w czasie wojny 680.000 Włochów, milion sto tysięcy odniosło rany, a pół miliona powróciło do domu kalekami. Dziś Anglja i Francja chcą zniszczyć ekonomicznie naród włoski i powstrzymują go w jego najbardziej żywotnych dążeniach.

Nie brak głosów, że sankcje są próbą generalną, dokonywaną kosztem Italji, próbą innych sankcyj, które — może w nie-dalekiej przyszłości — mogłyby zostać zastosowane przeciwko jednemu z mocarstw europejskich. Tem mocarstwem miałyby być naturalnie Niemcy. Włosi patrzeli ze zdumieniem, że uchwalając sankcję nie wzięto nawet pod uwagę nowych faktów, podważających określenie Italji, jako napastnika. Fakty te stwarza poddawanie się coraz to nowych lokalnych dygnitarzy abisyńskich pod suwerenność Włoch i postępujący ciągle naprzód proces wewnętrznego rozkładu Abisynji.

Nikt w Italji nie wpada w zdenerwowanie z powodu sankcyj. Nie można — mówi się — szczególnie w dobie kryzysu, wyrywać bezkarnie z gospodarki europejskiej tak wielkiego organizmu ekonomicznego, jakim są Włochy. Sankcje obrócą się i jak bumerang uderzą w tych, którzy je najbardziej forsowali. Oblicza się, że inicjatorkę sankcyj — Anglję — dotknie boleśnie ta wojna ekonomiczna.

Istnieje cały szereg towarów i produktów, które Italja masowo importowała z Anglji. I tak w ciągu ośmiu miesięcy 1935 roku Włochy zakupiły w Anglji towarów i surowców na sumę 436 milionów lirów, z czego za 191 milionów lirów zakupiono węgla angielskiego. Już obecnie węgla nie sprowadza się z Anglji, co kopalnie angielskie dotkliwie odczują. Elektryfikacja linii kolejowej Florencja — Rzym — Neapol i kilku mniejszych linii, oraz będące na ukończeniu dalsze roboty elektryfi-

kacyjne dadzą Włochom już w ciągu 1936-go roku oszczędność dwu milionów ton węgla.

Włosi zresztą wierzą — nie bez psychologicznej słuszności — że czas będzie pracował dla nich, że w mniejszych państwach nastąpi zwrot w opinii i naturalna reakcja przeciwko nadmiernej impozycji Anglii.

Wiedzą też w Rzymie dobrze o tem i wie o tem dobrze „Il duce“, że nigdy sytuacja Anglii nie była bardziej dramatyczna. Anglja ma kłopoty na Dalekim Wschodzie, ma kłopoty z Niemcami, a przytem musi pamiętać, że Włochy są bliżej Egiptu, niż ona i że usadowienie się Włoch w Abisynji daje w ręce Mussoliniego klucze Oceanu Indyjskiego. Z tych przyczyn Anglja, by nie stracić swej wiekowej, słynnej linii imperjalnej, nie może dopuścić do podboju Abisynji i do ujęcia Egiptu w kleszcze włoskich posiadłości. Nie może jednak równocześnie dopuścić do klęski Włoch, bo potrzebuje Italji w Europie, bo byłaby to, co więcej, klęska białej rasy, podrywająca prestiżowo pozycję Anglii w kolonjach.

Pozostawałaby więc trzecia ewentualność — wojna angielsko-włoska. Tu jednak istnieje zbyt wiele znaków zapytania. Anglja obawia się rozpętania wojny światowej, musi liczyć się ze stanowiskiem Francji, a przytem, będąc przygotowana do wojny zarówno ekonomicznie, jak i finansowo, nie jest do niej gotowa militarnie.

— Bitwa pod Skagerrak — powiedział mi wyższy oficer marynarki włoskiej, z którym zetknąłem się zupełnie przypadkowo — nauczyła Anglję, w czasie wojny światowej, że przewaga tonażu nie jest wszystkim. Nie jest to przewaga decydująca, istnieją jeszcze inne, niemniej ważne, współczynniki zwycięstwa na morzu. Anglja dobrze zapamiętała naukę Skagerraku.

Dodajmy, że flota włoska, jeżeli chodzi o nowoczesność i stopień wyszkolenia, nie jest bynajmniej przeciwnikiem, zasługującym na lekceważenie, a lotnictwo włoskie i pod względem liczby aparatów i pod względem wyćwiczenia materiału ludzkiego stoi znacznie wyżej od angielskiego lotnictwa. Wielka Brytania dopiero w 1937 roku będzie mogła pod tym względem zrównać się z Italją.

W tej zaprawdę dramatycznej sytuacji Anglja przedsięwzięła metodę gry na zwłokę, a wierna swej starej metodzie, usiłuje rozstrzygnąć konflikt rękoma Abisyńczyków, których

uzbraja, oraz rękoma państw, stosujących sankcje. Gdy to zaś wiedzie, angielski Posejdon, władca mórz, będzie się musiał głosić jaką wybrać ewentualność, skoro wszystkie są nieprzyjemne i niemiłe. Do Etyopów zaś ma Posejdon już oddawna predykcję całkiem szczególną. Oto stary Homer w „Odyssei“, tak mówi o tem, wyliczając cierpienia, powracającego po zburzeniu Troi Odysseusza:

„Posejdon sam mu tylko nie przebacza...

— — — — —

*Na szczęście bóg ów odszedł, aż do Etyopów,
Zamieszkujących ziemi rubieże ostatnie,
A gdy ci hekatombę sutą wyprawiali
Z byków i kóz — Posejdon godował wraz z nimi“...*

Angielski Posejdon widzi dziś z przerażeniem, że jego miejsce przy etjopskim stole usiłuje zająć inny, nieproszony gość. I oto proste ujęcie konfliktu, trzymającego od szeregu miesięcy cały świat w napięciu. Chodzi o to, kto pozostanie na abisyńskich godach...

IV.

18 listopada 1935...

W dniu tym weszły w życie uchwalone w Genewie sankcje przeciwko Italji. Europa postawiła na „czarną kartę“ — pomimo wszelkich żywionych jeszcze tu i ówdzie nadziei, że termin sankcyj zostanie odroczony, że nie dojdzie do ich praktycznego zastosowania.

Ludność Rzymu żyje od dnia wybuchu wojny w nieustannem, patryjotycznem podnieceniu. Każdy dzień przynosi coś, co przemawia do wrażliwej wyobraźni Włocha, co podnosi falę entuzjazmu i nie pozwala jej opaść. Na dwa dni przed pamiętnym dniem 18 listopada, o godzinie dziesiątej wieczór zebrała się w Palazzo Venezia Wielka Rada Faszystowska pod przewodnictwem Mussoliniego. Owego wieczoru i owej nocy tłumy zalegały Plac Wenecki. Tradycyjnym zwyczajem, na pół godziny przed rozpoczęciem obrad, z gmachu, będącego siedzibą dyktatoratu partji — wyniesiono partyjny proporzec i przy dźwiękach orkiestry, pod honorową eskortą „Czarnych Koszul“ przeniesiono do Pałacu Weneckiego i wywieszono na owym balkonie, na którym Mussolini ukazuje się zawsze masom. Przeniesienie proporca dało powód do gorących manifestacyj. Wielka

Rada Faszystowska obradowała do godziny pierwszej w nocy i przez cały ten czas tłumy gromadziły się przed pałacem, wznosząc okrzyki na cześć faszyzmu i „duce“ i śpiewając chóralnie narodowe pieśni.

W niedzielę, w przeddzień wprowadzenia sankcyj, we wszystkich lokalach publicznych, we wszystkich restauracjach, kawiarniach i dancinach rozpoczęły orkiestry swój program od odegrania marsza królewskiego i „Giovinezzy“. W kinoteatrach w czasie wyświetlania zdjęć z placu boju, publiczność zrywała się z miejsc i chórem intonowała hymn faszystowski. Nie było końca okrzykom „Niech żyje faszyzm! Niech żyje Duce! Precz z sankcjami! Bojkotujemy sankcjonistów“!

Dzień 18 listopada czyni wrażenie święta narodowego. Dzień ten został nazwany „dniem hańby i niesprawiedliwości“. Pod tą nazwą ma przejść do historii Włoch, a zgodnie z uchwałą Wielkiej Rady Faszystowskiej we wszystkich gminach włoskich ma być wyryta data 18 listopada 1935, by nie zapomniano o niej przyszłe pokolenia.

Italia — od Brenneru po krańce Sycylii — przybrała się w narodowe flagi. Rzym tonie niemal w tych flagach. Jest ich równie wiele w śródmieściu, jak i w robotniczych dzielnicach. Powiewają na chłodnicach samochodów i taksówek, na dachach tramwajów i autobusów.

Gmach ambasady angielskiej przy ulicy 20-go Września strzeżony jest przez wojsko i silne oddziały milicji faszystowskiej w obawie przed wrogimi demonstracjami. Nastrój ulicy jest jednak poważny i nacechowany jakąś szczególną serdecznością. Obcy ludzie czują się w tym dniu sobie bliscy. Zbliża wszystkich świadomość, że utworzył się nowy front wojenny, kto wie, czy nie ważniejszy od tego, który biegnie przez góry i pustynie Abisynji.

Godną podziwu może być dla każdego znakomita organizacja społeczeństwa włoskiego. Dzięki tej organizacji termin sankcyj zastał to społeczeństwo całkowicie przygotowane i ufne w siebie. Wszystkie syndykaty, wszystkie korporacje i stowarzyszenia zostały wciągnięte do pracy nad obmyśleniem i zastosowaniem metod i środków obrony. Kobiety włoskie powołano również do tej akcji. Komitety prowincjonalne, złożone z matek i wdów po poległych w wojnie światowej, zajęły się

przeprowadzeniem i ścisłym wykonaniem ograniczeń w spożyciu niektórych artykułów i w bojkocie zagranicznych towarów.

Już na kilka dni przed 18-tym listopada z witryn księgarskich i z kiosków poznikały wszystkie książki i magazyny w językach obcych. Wyjątek uczyniono jedynie dla wydawnictw niemieckich. Niema sklepu, w którym nie wisiałyby napisy:

— „Tu sprzedaje się tylko towary włoskie“.

— „Wyroby włoskie są tańsze i lepsze od zagranicznych“.

— „Stosując nasz bojkot przeciwko ich sankcjom, dajesz pracę robotnikowi włoskiemu“...

W wielkich magazynach, jak również w małych sklepikach i traktrjerniach na Borgo, w dużych miastach i w małych miasteczkach — wszędzie biją w oczy owe hasła, ale podczas, gdy gdzieindziej pozostałyby one tylko hasłami, tu są one przykazaniem, którego wykonanie jest chlubą i dumą narodową.

W akcji przeciwko sankcjom niema najmniejszych wyłomów. Dzień 18 listopada przyniósł listy pasterskie arcybiskupów Messyny i Brindisi, skierowane przeciwko sankcjom. List arcybiskupa Brindisi jest przytem szczególnie charakterystyczny, ponieważ w ostrym tonie atakuje i piętnuje „zimny egoizm i bezwstyd angielski“...

Jeszcze bardziej charakterystyczny jest postępek arcybiskupa Pizy, który oświadczył, że od dnia 18 listopada, celem zaoszczędzenia państwu cennej benzyny, będzie używał samochodu tylko w czasie wyjazdów na prowincję w sprawach djecejalnych, — w mieście zaś, będzie chodzić piechotą. Gdy po oświadczeniu tem, dostojnik kościelny opuścił swój pałac i ukazał się pieszo na ulicach miasta, stał się przedmiotem burzliwych owacyj.

Nikt nie sarka we Włoszech na ograniczenie spożycia, które w tej chwili sprowadza się w praktyce do ograniczenia spożycia mięsa. We wtorki wszystkie jatki i miejsca sprzedaży mięsa zamknięte są „na mur“. We wtorek jest ryba na obiad w każdym włoskim domu, na czem tylko zyskiwać będą rybacy włoscy, rzecz dziwna bowiem na półwyspie Apenińskim ryba — poza nadmorskimi miejscowościami, nie była wcale potrawą zbyt popularną. Środa jest znowu dniem przeznaczonym na spożywanie drobiu, przyczem rozpoczęto z miejsca energiczną kampanję wśród hodowców drobiu, by tę gałąź gospodarstwa narodowego uczynić bardziej intensywną.

Rzecz prosta i wojna i sankcje musiały wpłynąć na wzrost drożyzny we Włoszech. Szczególnie podskoczyły w cenie wszystkie tłuszcze, a wśród nich mydła. Gdy jednak chodzi o produkty żywnościowe, Włosi nie martwią się i nie narzekają, ponieważ zwyczajka cen artykułów żywnościowych jest minimalna, a poza tym Włoch umie żyć skromnie i poprzestawać na małym. Pod tym względem robotnik włoski może być naprzykład śmiało porównany z robotnikiem chińskim lub japońskim. Tym wystarczy miseczka ryżu — jemu talerz „spaghetti“.

Na straży oznaczonych cen stoi specjalna komisja partii faszystowskiej, która w walce z wszelkimi próbami paskarstwa i wytwarzania drożyzny, stosuje bez wahania drakońskie środki. Kupiec, któryby dopuścił się tego rodzaju nadużyć spotyka się z natychmiastową karą, polegającą na usunięciu z korporacji zawodowej, na ogłoszeniu i napiętnowaniu w prasie jego czynu, oraz często na pozbawieniu go koncesji. W ustroju korporacyjnym kara taka równa się śmierci cywilnej.

Sankcje to kosztowna broń, kosztowna dla tych, którzy je stosują, ponieważ Włochy postanowiły, że ich obrona przed skutkami sankcyj nie będzie tylko bierna. W ciągu ośmiu miesięcy 1935 roku, to znaczy do końca sierpnia, Włochy zakupiły towarów w Anglii za 436 milionów lirów. Obecnie sankcje przekreślają całkowicie włoski handel z Anglią. W dniu 18 listopada 1935 roku 16.665 górników angielskich, którzy wydobywali dotąd w angielskich kopalniach węgiel wyłącznie dla Włoch, odłożyło kilofy i pozostało bez pracy. Każdy miesiąc sankcyj przynosi eksportowi francuskiemu 15 milionów franków strat. Rosję Sowiecką kosztują sankcje 10 milionów lirów miesięcznie, a mała Belgja dopłaca do każdego miesiąca sankcyj 7 i pół miliona lirów. Tak więc, jak wskazuje tych kilka przykładów, wszystkie państwa muszą ponieść straty w tej wojnie ekonomicznej, jakiej nie widziały jeszcze dzieje świata.

Włosi absolutnie nie mogą zrozumieć zapewnień, że większość państw stosujących sankcje, odnosi się zarazem przyjaźnie do Włoch, że chodzi tu o zasadę postawioną ponad wszelkie racje. To perfidne, niewątpliwie, dzielenie włosy na cztery jest dla włoskich mas całkowicie niepojęte. Pewien kupiec w Brindisi wypytywał mnie długo i szczegółowo na temat stosunku Polski do Włoch, a gdy wyluszczyłem mu przyczyny dla których Polska, nie mając sprzecznych interesów z Włochami i ży-

więc dla nich przyjaźń, przystąpiła do sankcyj — kupiec mój wybuchnął nagle:

— Wy mówicie nam wszyscy o przyjaźni. Ładna to przyjaźń, która dąży do ogłodzenia naszych żon i naszych dzieci...

Przyznaję, że na ten argument trudno mi było znaleźć odpowiedź.

— Z sankcjami będzie, jak z prohibicją — zauważył w rozmowie ze mną pewien przemysłowiec niemiecki, który przybył do Włoch w oczekiwaniu dobrych interesów. — Wszyscy jej chcieli w Ameryce, a w praktyce nikt się do niej nie zastosował...

Wydaje mi się, że jest to trafne ujęcie kwestji. Sankcje to droga do nowych form międzynarodowej obłudy i do stworzenia zupełnie nowego rodzaju przemysłnictwa i korsarstwa handlowego. Nie jedno świadectwo przywozu zostanie sfalszowane...

W Genewie popełniono błąd — błąd bodaj najważniejszy. Nie wzięto pod uwagę motywów psychologicznych.

A te właśnie motywy działają we Włoszech z całą właściwą sobie siłą.

V.

Setny dzień sankcyj. Setny dzień walki ekonomicznej pięćdziesięciu państw przeciwko Włochom. Owej walki, która zdaniem mędrków z Ligi Narodów miała szybko i pewnie obalić na kolana rzekomego „napastnika“.

Jestem znowu w Rzymie — tym razem już w drodze powrotnej z erytrejskiego frontu. Pierwszą rzeczą, jaka mnie interesuje, jest naturalnie wynik działania sankcyj. Czy sprowadziły one jakieś przemiany w życiu społeczeństwa włoskiego, czy wywołały spustoszenie i dezorganizację we włoskiem gospodarstwie narodowem? Czy szerokie masy ludności cierpią z powodu sankcyj? Czy może owa broń Ligi Narodów działa powoli, ale trwale, niby trucizna podawana w drobnych dawkach?

Ale w Rzymie nie znać i nie widać wojny, tak, jak nie było jej widać, gdy trzy miesiące przedtem opuszczałem Italię. Już baczne przyjrzenie się włoskiej ulicy, przekonywa, że przeciętny obywatel nie odczuwa wyników oblężenia ekonomicznego.

Bo i cóż się zmieniło? Zmieniono godziny biurowe w urzędach, by oszczędzić na węglu i świetle, zmniejszono również oświetlenie ulic, ograniczono ruch samochodowy, w ten spo-

sób, że kto posiadał dwa samochody, używa w tej chwili jednego — i oto wszystko.

Podrożała benzyna. Gdy piszę te słowa cena jej za litr wynosi 3 liry 86 i mówią, że cena jej dojdzie do 5 lirów za litr. Ale to sam rząd raz po raz podnosi ceny benzyny, by w ten sposób ograniczyć jej spożycie. Kto chce się rozbijać samochodami — niech płaci.

Włosi jednak nietylko bronią się przed sankcjami, ale również atakują. W ciągu owych kilku miesięcy zrobiono bardzo wiele, by wyzyskać do maximum ekonomiczne możliwości kraju, by nic z naturalnych zasobów Italji nie zostało zmarnowane i niewyzyskane, by wreszcie stworzyć i zbudować te gałęzie przemysłu, które dotąd nie istniały, by te produkty pochodzenia zagranicznego, któremi do dnia ogłoszenia sankcyj zalać ne były Włochy, zastąpić niemniej dobrimi produktami rodzimymi. I tak na przykład wyrugowano już zupełnie francuski przemysł kosmetyczny i zastąpiono go produkcją włoską, ten sam los spotkał angielski przemysł farmaceutyczny, otwierając szerokie możliwości rozwoju dla szczupłego włoskiego przemysłu farmaceutycznego. Podjęte zostały energiczne usiłowania, by w kolonjach włoskich rozbudować jaknajbardziej produkcję bawełny.

Również dziedzinę techniczną postanowili Włosi wyzyskać w jaknajwiększej mierze. Dokonano wielu udanych prób tworzenia namiastek benzyny, jednakże najciekawszym wynalazkiem jest wykrycie możliwości fabrykowania sztucznej wełny z kazeiny mleka. Ta wełna wyrabiana już przez włoskie fabryki i rzucona na rynek pod nazwą „Lanital“ ma przewyższać swą jednolitością wełnę owczą.

To jeden tylko przykład. Wynalazczość włoska, rozbudzona w najwyższym stopniu sankcjami, nie kończy się na „Lanitalu“. Tajemnica wyrobu tej sztucznej wełny, podobnie, jak szereg drobniejszych wynalazków znakomitych namiastek, jest przez Włochów pilnie i zazdrośnie strzeżona, czemu nie należy się dziwić.

Sankcyjna fala odbiła się, jak fala morska od skał nadbrzeżnych, o okrzepły i pełen energii organizm gospodarczy Włoch. Dziś już jest pewne, że nie były agitacyjnym frazesem słowa Mussoliniego, że po zniesieniu sankcyj wiele rzeczy nie wróci już nigdy do poprzedniego stanu. Jakoż faktycznie wiele

zagranicznych towarów nie odzyska już — po zniesieniu sankcyj — prawa obywatelstwa we Włoszech. Nie zyska poprostu dlatego, że Italja nie będzie ich już potrzebowała, mając w owych dziedzinach towar przedewszystkiem własny, a następnie tańszy i częstokroć lepszy.

Raz jeszcze potwierdza się stare przysłowie, że niema złego, coby na dobre nie wyszło.



Z ORŁAMI RZYMSKIEMI DO AFRYKI

I.

W Rzymie idzie wszystko normalnym trybem. Panuje spokój zupełny i tylko większa, niż zazwyczaj, powaga „wiecznego miasta“ świadczy o tem, że stolica Włoch przeżywa momenty o historycznem znaczeniu. Pozatem wojny nie widać w Rzymie wcale i dopiero w Neapolu czuje się jej gorący oddech.

Neapol żyje wojną.

Zaczął żyć nią daleko wcześniej, niż całe Włochy — wówczas, gdy w gabinetach dyplomatów toczyły się jeszcze rozmowy o możliwościach zażegnania i pokojowego załatwienia za targu, gdy w Genewie obradowano i naradzano się w kuluarach, gdy ludzono się jeszcze fałszywemi nadziejami.

Neapol nie miał już wtedy złudzeń i wojna dotykała go już wtedy swem skrzydłem. Na długie tygodnie przed rozpoczęciem włoskiego marszu wgląb Abisynji, udawały się przez Neapol transporty wojska do Erytrei. Neapol zegnał owe 200.000 żołnierzy, o których powiedział Mussolini, że gdyby kazano im powrócić bez wystrzału — nie posłuchaliby rozkazu i poszliby sami naprzód.

Neapol jest dziś najruchliwszym bodaj portem Europy — portem, który jest jakgdyby przedpokojem wojny. Cała działalność portu jest nastawiona w tym jednym kierunku. Do Neapolu zwożą pociągi za pociągami materiał wojenny i zapasy żywności, przeznaczone dla Afryki Wschodniej — do Neapolu zdążają długie szeregi wagonów wypełnione żołnierzami, wysyłanymi na daleki abisyński front.... W porcie zavalone są wszystkie bocznicze kolejowe, dochodzące do nabrzeży — gorączkowo pracują krany — gorączkowo przyjmują ładunek statki.

Wojska pełno wszędzie — Neapol jest wojennym obozem. Umilkły słynne neapolitańskie piosenki, umilkły miłosne barkas role — musiały ustąpić miejsca junackim piosenkom żołnierskim — piosenkom wojennym. Marszami wojskowemi grzmiały orkiestry, żegnając w porcie odpływające do Afryki bataljony — rytmem wojennym dyszy całe miasto, rytmem tym biją wszystkie serca. Eros został chwilowo wygnany i ustąpił miejsca Marsowi.

Niema dnia, by z portu w Neapolu nie wyszedł statek z wojskiem i sprzętem wojennym. Są dni kiedy odpływa ich kilka. Wszystkie te statki płyną do Erytrei, lub do włoskiej Somalii, a najczarowniejsza bodaj na świecie zatoka neapolitańska od miesięcy już patrzy na ten niezwykle exodus.

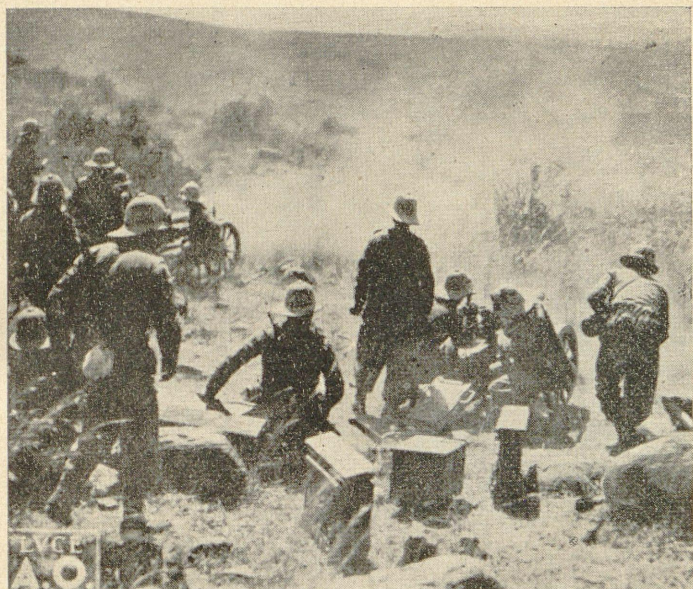
Od miesięcy patrzy i od miesięcy żegna odjeżdżających. Jeżeli całe Włochy żyją w patryjotycznej egzaltacji — to tu — w Neapolu — egzaltacja ta dochodzi niemal do szczytu.

Neapol to ostatni skrawek ojczystej ziemi, jaki oglądają oczy odjeżdżających na wojnę, ostatni skrawek ziemi, po jakim stąpają nogami. Erytrea jest też włoską ziemią, ale nie jest przecież macierzą — to rozumieją wszyscy. I rozumieją to również mieszkańcy Neapolu. Jakże niezmordowanie starają się umilić odjeżdżającym najcięższe chwile rozstania, jakże serdecznym uśmiechem darzą każdego człowieka w mundurze, każdego oficera, każdego żołnierza.

Neapolitańczycy wiedzą zawsze doskonale, kiedy i jaki statek opuszcza port i jakie formacje wojskowe na jakim odjeżdżają statku. Zazwyczaj statki wychodzą z portu wieczorem i wówczas kto żyw i kto może spieszy do przystani, by pożegnać, by razem z żołnierzami odśpiewać żołnierskie piosenki, by wspólnie manifestować, by powiewać chustkami, kapeluszałami — czem kto woli — jak długo ci na statku — w hełmach i mundurach — mogą widzieć i rozpoznać zbitą ciżbę, stłoczoną na nabrzeżach.

Gdy statek oddali się wreszcie — tłum stoi jeszcze długo w zapadającym coraz gęstszym mroku, a potem rozplywa się powoli — poważny, milczący, przejęty, podniesiony na duchu, jeszcze bardziej utwierdzony w swej głębokiej wierze.

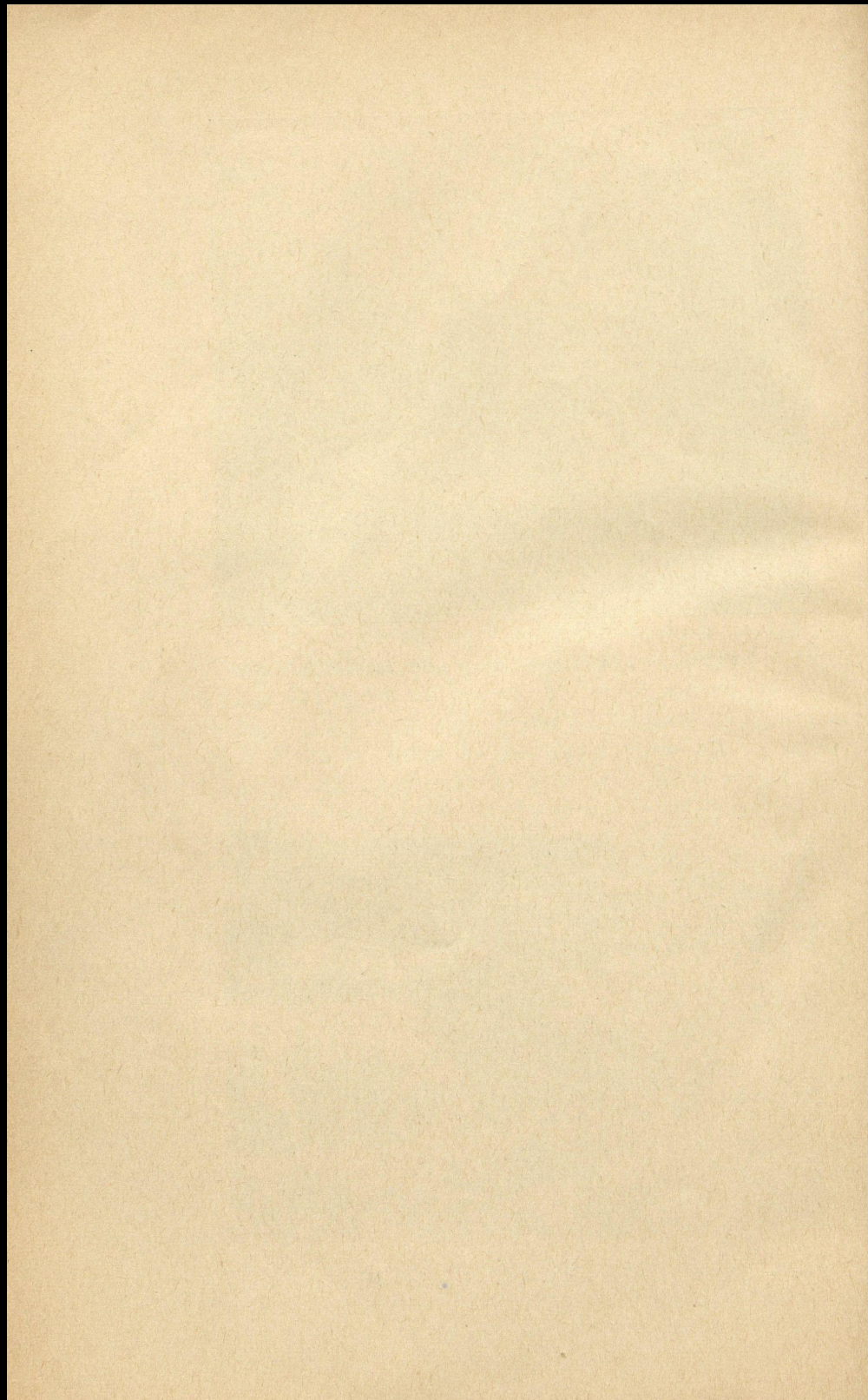
I tak jest codziennie. Neapol żyje na koturnach i nie schodzi z nich niemal zupełnie. Temperament Neapolu jest gorętszy, bardziej wybuchowy, niż temperament mieszkańców Rzymu. Tu



Artyleria włoska w akcji pod Amba Aradam



Przegląd wojska pod Macalle



słyszcy się często okrzyk „Precz z Anglią!“ — okrzyk rzadko słyszany w Rzymie. Powtarzają go w Neapolu setki i tysiące ust.

Jakże podobny jest ten okrzyk do owego słynnego „Gott strafe England!“ — którym w roku 1914 rozbrzmiewały Niemcy. Ale czy cicho, czy głośno powtarzają Włosi „Precz z Anglią!“ — wynik jest jeden — wystarczyło kilka miesięcy, by tradycyjna przyjaźń zmieniła się w nienawiść.

Nic tak bardzo nie zajmuje Włochów, jak kwestja sankcyj. Włosi z całą radością notują każdy objaw sympatji, wyrażony im przez zagranicę — każdy protest przeciwko sankcjom.

Urzędnik portowy, który załatwiał formalności, związane z moim wyjazdem, gdy ujrzał paszport i dowiedział się, że jestem Polakiem, — ozwał się z ożywieniem:

— Polska? Tak. Wiem. Rząd jest sankcjonistyczny, ale ludność jest po naszej stronie... Tak samo jest we Francji. I tu i tam trudno zrozumieć wielu ludziom, dlaczego nie handluje się z Włochami...

Tak myślał ten włoski urzędnik. Przytaczam jego słowa bez komentarzy. Ale nie tylko on jeden myśli tak we Włoszech — w Neapolu i — poza Neapolem...

II.

Statek „Colombo“, na którym przydzielono mi kabinę, jest jednym z licznych statków dużego towarzystwa okrętowego „Flotte Riunite“ w Genui, przejętych obecnie przez władze włoskie dla celów wojskowych.

W tym nowym charakterze wojskowego transportowca odbywa tym razem „Colombo“ swą dziesiątą podróż do Massaua.

Jest piękny i gorący dzień, Neapol pławi się w słońcu, mimo, że jest to pora roku, którą nazywa się zimą. Na „Colombo“, przycumowanym do nabrzeża, panuje od rana gorączkowy i ożywiony ruch. Statek odbywa ceremonję gruntownego czyszczenia przed ośmiodniową podróżą. Już schną świeżo wymyte pokłady, błyszczą wypolerowane mosiężne części statku, przygotowywane są pomieszczenia dla żołnierzy, których „Colombo“ ma zabrać.

Na maszcie pięknego statku, liczącego 15 tysięcy ton, powiewa już flaga, będąca oznaką, że w tym dniu właśnie „Colombo“ rozpoczyna swą podróż — niebieska flaga, w którą wpisany jest biały kwadrat.

Od wschodu słońca zaczynają skrzypieć dźwigi okrętowe i żorawie. Rozpoczyna się ładowanie towarów, których statek zabiera pewną ilość — ładowanie żywności i paszy dla koni. Z niemalym trudem przetransportowano z mola na statek 80 koni. Znalazły one pomieszczenie w specjalnie w tym celu pobudowanych przegrodach na przodzie i na rufie statku. Konie przyjmują swój los ze stoickim spokojem. Po nich przychodzi kolej na ładowanie bagaży oficerów, oraz skrzynek żołnierskich.

Jest godzina trzecia popołudniu, gdy na nabrzeże, w wojskowym ordynku, z towarzyszeniem orkiestry, przemaszerowują dwa bataljony piechoty, które mają udać się do Erytrei. Razem z oficerami, bądź zawodowymi, bądź oficerami rezerwy, którzy zgłosili się jako wolontariusze, — „Colombo“ zabiera na swój pokład przeszło dwa tysiące ludzi. Wraz z załogą pokładową i maszynową i ze służbą, liczba ludzi zaokrętowanych na statku przeniesie liczbę dwu tysięcy trzystu osób.

Żołnierze dwu bataljonów roztasowują się na wybrzeżu i skracają sobie czas oczekiwania śpiewaniem piosenek wojskowych. Zaokrętowanie bataljonów odbywa się powoli, lecz we wzorowym porządku. Żołnierze wchodzą na pokład statku po dwunastu i otrzymują przydział do pomieszczeń. Zrzucają ciężkie plecaki, odstawiają karabiny i wkrótce już tłoczą się u burt statku, by raz jeszcze popatrzeć na port i na miasto.

Powoli oblepiają dosłownie cały statek. Czepiają się oliznowań i wantów, wdrapują na maszty i stamtąd wnoszą okrzyki na cześć zwycięstwa i wodza. Pochodzą z północnych Włoch. Z Treviso. Za chwilę, gdy statek zrzuci cumy, popłyną daleko, — na południe, niby ciąg żorawi, uciekających przed zimą w krainy słońca.

Zwraca uwagę niezmiernie serdeczny stosunek pomiędzy żołnierzami, a oficerami. Faszyzm potrafił wytworzyć specjalną formę demokratycznego współżycia, pomiędzy włoskim oficerem, a włoskim żołnierzem. Rozdział pomiędzy stosunkiem służbowym, a pozasłużbowym jest tu większy, niż gdzieindziej, — bez uszczerbku dla karności i dyscypliny. Gdy oficerowie wchodzi po pomoście na pokład statku, witają ich huczne okrzyki

żołnierzy, a dwaj majorzy — dowódcy bataljonów — porwani na ręce przez żołnierzy, zostają triumfalnie przeniesieni na pokład „Colombo“.

Tymczasem niepostrzeżenie na nabrzeżu zaczyna się gromadzić coraz więcej ludzi. To mieszkańcy Neapolu, którzy przybywają pożegnać odpływających. W czasie, gdy coraz to nowe dwunastki żołnierzy wchodzi na pokład, oficerowie żegnają się ze swymi rodzinami, przybyłymi do Neapolu, by odwlec i jaknajdłużej przeciągnąć moment rozstania. Melodie wojskowych marszów, takt żołnierskiej piosenki — mieszają się z szybkimi, urywanymi zdaniami, z ostatnimi słowami pożegnania, w których chciałoby się zamknąć więcej, niż jest się w stanie... Prawda — przecież to wojna! Przecież to pożegnanie, cięższe od innych pożegnań...

Zwolna zapada mrok. Port rozbłyska niezliczoną ilością świateł, błyskają na niebie pierwsze gwiazdy. Latarnie morskie u wejścia do awanportu zaczynają ciąć mrok smugami reflektorów. Zatoka neapolitańska stoi cicha, spokojna, zadumana — jedna z najpiękniejszych zatok świata.

Na jednym z masztów statku żołnierze umocowali transparent z napisem: „Vincere o morire per la Patria e per il Duce“ — „Zwyciężyć lub poleć za Ojczyznę i Wodza“. Patrząc na ów napis i przychodzi mi na myśl przysłowie, które cytuje każdy turysta, przybywający do Neapolu, przysłowie bez którego nie obejdzie się żaden przewodnik po Italji — żaden Baedeker. „Zobaczyć Neapol i umrzeć...“.

Przysłowie to nabiera tym razem szczególnego sensu. Znakomita większość owych żołnierzy, spoglądających na zasypiającą zatokę, widzi Neapol po raz pierwszy w życiu i jedzie na wojnę, skąd tak często niema powrotu...

Ale któżby tam w takiej chwili myślał o śmierci! Jeżeli jest — to gdzieś za morzami, za górami, gdzieś w odległych wąwozach Abisynji. Myśli się tylko o zwycięstwie. „Il duce“ potrafił tchnąć nawet w tych prostych ludzi ducha rzymskich legionów.

Zaokrętowanie wojska dobiega kresu. Rośnie tłum na nabrzeżu. Zjawiają się przedstawiciele miejscowych władz wojskowych i faszystowskich, by asystować przy odjeździe „Colombo“. Nadchodzi moment ostatniego pożegnania. Łzy rozsta-

nia błyszczą w oczach żon, matek i sióstr. Ostatnie pocałunki. Ostatnie uściski.

Służba portowa usuwa pomost, łączący statek z nabrzeżem. Służba okrętowa podciąga trap statku. Już tylko cumy łączą „Colombo“ z lądem.

Gwarny tłum zastyga naraz w milczeniu. Stoї cichy, skupiony, jakgdyby przejęty ważnością tej chwili, którą przeżywa niemal codzień, niemal co wieczór od długiego szeregu miesięcy. Przez statek przechodzi coraz silniejszy dreszcz pracujących maszyn. Padają liny, któremi „Colombo“ przycumowany jest do mola.

I naraz, na molo, wojskowa orkiestra wybucha dźwiękami „Giovinezzy“. Podnoszą się ręce w faszystowskim ukłonie. „Colombo“ rusza powoli przy dźwiękach hymnu.

Żołnierze podchwytyją melodię pieśni. Podchwytyje ją tłum na wybrzeżu.

Statek oddala się powoli. Przez długą chwilę melodia „Giovinezzy“ jest już jedynym tylko pomostem pomiędzy uroczyście rozśpiewanym statkiem, a ciżbą ludzką, powiewającą chustkami na molo. Potem i ten pomost również się urywa. Bezszelестnie osuwa się wdół flaga, będąca sygnałem odjazdu.

„Colombo“ rozpoczął swą podróż. Podczas gdy wychodzi z zatoki, na wszystkich pokładach odzywa się gong, wzywający na pierwszy na morzu posiłek...

III.

Utrapieniem każdego statku, wyruszającego w rajs, są chyba od niepamiętnych czasów tak zwani „ślepi pasażerowie“.

Pod nazwą „ślepego pasażera“ ma się na myśli człowieka, który — z tych, czy innych powodów — uprawia w dziedzinie podróży morskich ten sam proceder, jaki w Polsce w odniesieniu do kolei żelaznych określa się mianem podróżowania „na gapę“. Podobnie, jak pasażer „na gapę“ jedzie bez biletu — tak samo ślepy pasażer okazuje pogardę dla wszelkich formalności paszportowych i za nic ma sobie obowiązek wykupienia karty okrętowej.

Różnica istnieje tylko w sferze trudności technicznych. Podczas, gdy jadący „na gapę“ może bez żadnych stosunkowo trudności dostać się do wagonu i kłopoty jego zaczynają się

dopiero po wyruszeniu pociągu w drogę, kiedy to trzeba uciekać się do nielada forteli, by uniknąć spotkania z konduktorem, lub kontrolerem — „ślepy pasażer“ ma poprostu nieprzezwyciężone przeszkody w dostaniu się na pokład statku i ukryciu się tak, by nie zostać znalezionym do chwili, póki statek nie wyjdzie w morze. Wówczas może już bezpiecznie opuścić swą kryjówkę i śmiać się w nos kapitanowi statku i intendentowi. Nie skąpią go przecież w słonej wodzie, ani też statek nie zawróci do portu, poto tylko, by wysadzić go na ląd.

Po opuszczeniu przez „Colombo“ Neapolu, okazało się po kilku godzinach, że statek nasz gości ni mniej, ni więcej tylko... ośmiu takich „ślepych pasażerów“. Trzeba wziąć pod uwagę, jak bardzo w każdym porcie strzeżone są statki, jakiego trzeba sprytu, by zmylić czujność załogi, posterunków policyjnych i celnych, by zdać sobie sprawę, że owych ośmiu pasażerów „na gapę“ dokonało prawdziwie mistrzowskiego chwytu.

Nie potrzeba było ich szukać. Nie trzeba było przetrząsać zakamarków statku. Zgłosili się sami do oficerów pokładowych, pełni skruchy, ale zarazem i dumi, a co najciekawsze nie wiedzieli oni nic wzajemnie o sobie.

Byli to „ślepi pasażerowie“ szczególnego typu. Wszystko młodzi chłopcy, rekrutujący się ze sfer robotniczo-rzemieślniczych. Dostali się na pokład „Colombo“ w określonym celu. Poto, by skoro nie było innego sposobu, udać się do Massaua i do Erytrei. Chcą koniecznie zrobić coś dla włoskiej sprawy. Jeżeli już nie mogą być przyjęci jako ochotnicy i nosić karabinów — niech im przynajmniej dadzą do młodych rąk łopaty i taczki, niech pozwolą wziąć do rąk oskardy — niech pozwolą im brać udział w mozole budowy dróg na zajętych terytorjach, lub wyładowywać włoskie transportowce w Massaua. Byłoby tylko następnym statkiem nie kazano im wracać z Massaua do Neapolu. Przecież oni chcą też zrobić coś dla Italii...

I jakaż była rada na tych zapaleńców? Czy kapitan „Colombo“, lub królewski komisarz statku, mógł gniewać się na nich zbyt długo? Dano im ostry monit, poczem nakarmiono ich troskliwie, ponieważ przez szereg godzin siedzieli ukryci w jakichś kryjówkach, wiadomych chyba tylko szczerom okrętowym. Obiecano im też, że prośba ich, wyrażona w tak niezwykły sposób, zostanie tak, czy inaczej, przychylnie załatwiona.

Owi „ślepi pasażerowie“ to objaw niezmiernie charakterystyczny, tembardziej, że wypadek, którego świadkiem byłem na „Colombo“ nie jest — jak mi opowiadano — bynajmniej odosobniony. Niemal na każdym statku, zmierzającym do Erytrei, znajduje się po kilku takich entuzjastów, którzy powodowani patryjotycznym zapalem i awanturniczą żylką — zjawiają się na pokładzie po opuszczeniu Neapolu i — dalejże w prośby! Czasami w prośby ze łzami w oczach. Nie pomagają żadne środki ostrożności, nie pomaga żadna kontrola, ponieważ „ślepi pasażerowie“ spotykają się z niewątpliwem cichem poparciem niższej służby okrętowej.

Na pokładzie „Colombo“ znajduje się trzech dziennikarzy. Jeden z nich — Włoch — jest, o dziwo, korespondentem angielskiej agencji, drugim jest korespondent grupy pism niemieckich, a trzecim piszący te słowa. Okupujemy wspólny stół w sali jadalnej i po kilku już godzinach stanowimy zgraną trójkę.

Na drugi dzień po wyruszeniu w podróż, gdy statek pozostawił już poza sobą cieśninę messyńską i nadobre pożegnał brzegi Italji, jeden z wyższych oficerów włoskich zwołał wszystkich swych kolegów i dokonał prezentacji zagranicznych dziennikarzy. Z kurtuazją, jakiej dowody składano nam na każdym kroku, oficer ów wygłosił kilka słów powitalnych, poczem wezwał swych kolegów, by wznieśli faszystowski okrzyk „Eia, eia, allala!“ na cześć Polski na moje ręce i na cześć Niemiec na ręce mego niemieckiego kolegi. Odpowiedzieliśmy podobnym okrzykiem na pomyślność Italji, poczem przełamane zostały wszelkie lody i zapanował nastrój niczem niezmaczonej harmonji.

Postanowiono jednak zużytkować również praktycznie obecność trzech dziennikarzy na statku. Zrodziła się propozycja wydania na „Colombo“ jednodniówki, wybrano komitet redakcyjny i zawrzała praca. Wezwano wszystkich oficerów do złożenia swych utworów. Poszły na bok szachy — ulubiona rozrywka na morzu — zapomniano o bridżu i pokerze. Przed każdym białym stos papieru, skrzypiały cierpliwie wieczne pióra, odbywał się gorączkowy połów tematów, okazało się, że nie brak na „Colombo“ ukrytych talentów poetyckich. Skrzynka redakcyjna pękała niemal z obfitości złożonego materiału. Najgorętsze dyskusje wywołała sprawa tytułu, aż wreszcie za najlepszy tytu-

tuł uznano „Jajko Kolumba“, jako, że nasz statek nosi właśnie imię tego wielkiego odkrywcy.

„Dziennik“ nasz wydrukowano na małej pedałowce, służącej do sporządzania okrętowego „menu“. Była to praca niełatwa, każdą bowiem stronicę trzeba było drukować osobno. Cóż to jednak była za duma, gdy „Jajko Kolumba“ opuściło wreszcie drukarską prasę! Wszyscy tego dnia przechadzali się po pokładzie z „Jajkiem Kolumba“ w rękach i zgodzono się jednoznacznie, że jest to najlepsze i najciekawsze pismo, jakie od czasu pocziwego Guttenberga pojawiło się na świecie.

Tymczasem „Colombo“ odrabiał cierpliwie swoje piętnaście mil morskich na godzinę. Płyniemy cały czas pod pochmurnym niebem, na którym, ani na chwilę nie pojawia się słońce. Jest przytem poprostu zimno, choć podążamy niezmordowanie w kierunku południowo-wschodnim. Każdego dnia rano przesuwamy nasze zegarki o dwadzieścia minut. Oddalamy się od Europy nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Mój niemiecki kolega, który nie wiedział o tej konieczności poprawiania czasu, przekonał się, że i na okręcie nie można żyć bez zegarka, skoro po trzech dniach podróży zjawił się dość późno w sali jadalnej, by spożyć pierwsze śniadanie i zastał stół przygotowany już do lunchu. Odtąd nie było punktualniejszego człowieka na pokładzie.

Na wysokości Krety zaczyna się silne kołysanie. Fala rośnie i zdradziecka morska choroba zaczyna porywać z sali jadalnej coraz to nowe ofiary, ku nieklamanej radości opornych.

Naogół jednak wszyscy czują się dobrze. Dobrze również czują się żołnierze. Zajmują oni pomieszczenia trzeciej klasy, obszerne i dobrze wentylowane. W każdym pomieszczeniu znajdują się dwadzieścia cztery łóżka, nie brak jednak i pomieszczeń po dwanaście łóżek. Na śniadanie otrzymują żołnierze chleb i czarną kawę ze skondensowanym mlekiem. O godzinie jedenastej jest drugie śniadanie, a właściwie obiad, składający się z zupy, lub ulubionego makaronu, porcji mięsa z jarzyną i z świeżych owoców, przyczem każdy żołnierz otrzymuje po ćwierć litra czerwonego wina. Wieczorem znowu czarna kawa, a do chleba konserwy mięsne, lub marmolada.

Podoficerowie jadą w kabinach drugiej klasy i jedzą w dużej sali jadalnej, przy stołach przykrytych obrusami. Wszyscy żołnierze są szczepieni przed rozpoczęciem podróży przeciwko

ospie, tyfusowi i cholerze. W czasie podróży zostają też wszyscy poddani kąpeli. Żołnierze posiadają zupełną swobodę w spędzaniu czasu na „Colombo“. Piszą listy do rodzin, śpiewają, improwizują koncerty mandolinowe, grają w karty, lub też zawzięcie dyskutują na tematy wojenne — w specjalnie dla nich urządzonej kantynie.

Szybko mijają trzy dni podróży z Neapolu do Port-Saidu. Jest godzina trzecia rano — nikt jednak nie śpi na statku. Wszyscy chcą zobaczyć port, będący wrotami kanału sueskiego. Stewardzi już od pół godziny obchodzą kabiny i pukają i budzą, oznajmiając, że „Colombo“ zbliża się już do afrykańskich brzegów.

Wybiegamy na pokład. W oddali błyszczą wieniec świateł, migocą kolorowe latarnie nabieżników, oraz statków, stojących na redzie. Noc jest chłodna i ciemna — pozbawiona gwiazd.

Do burty „Colombo“ podpływa holownik, wiozący pilota. Mijamy jakiś włoski statek, gdzie poznają nas i witają hałaśliwie. Następnie przechodzimy wolno obok kilku smukłych, jarzących się mnogiemi światłami okrętów. W półmroku widać lufy armat i wyrzutnie torped. Okręty stoją ciche, ale groźne w swej zadumie. To angielskie torpedowce i kontrtorpedowce przypominają swą obecnością, że ta pozornie wolna ziemia egipska, do której się zbliżamy, jest ziemią, pozostającą pod władzą lwa brytyjskiego, że nad wodami kanału, do którego mamy wpłynąć, powiewa mimo wszystko angielska bandera...

Przechodzimy obok pomnika Lessepsa — twórcy kanału sueskiego — i zatrzymujemy się na redzie, w oczekiwaniu na załatwienie formalności i na sygnał wjazdu na wody Suezu. Z pokładu statku widać uśpione, słabo oświetlone miasto o pustych, jakby wymarłych ulicach.

Na torpedowcach i kanonierkach angielskich dzwony okrętowe wybijają rytmicznymi uderzeniami godzinę czwartą rano.

„Colombo“ stoi u wrót Afryki.

IV.

„Podczas krótkiego postoju w Port = Saidzie i w Suezie zabrania się kategorycznie jakiegokolwiek komunikowania się z lądem, lub też z łodziami, zbliżającymi się do statku.

Zabrania się również w sposób jaknajbardziej stanowczy nabywania jakichkolwiek przedmiotów, chociażby tylko dla własnego użytku. Zakaz ten obejmuje bez wyjątku wszystkie osoby cywilne, jak i wojskowe, znajdujące się na statku, jak też i całą załogę“.

Obwieszczenie tej treści, podpisane przez królewskiego komisarza na pokładzie „Colombo“, rozwieszono na dzień przed przybyciem statku do Port-Saidu we wszystkich widocznych miejscach, w salach jadalnych i w pomieszczeniach.

Datuje się ono od momentu, kiedy Egipt, — jako jedyne państwo nie należące do Ligi Narodów — pod polityczną presję Anglii, przyłączył się całkowicie do sankcyj przeciwko Włochom.

Jak objaśniono mnie jednak, nie tylko ten jeden powód zdecydował o bezwzględnym i surowym zakazie komunikowania się z ziemią egipską, podczas postoju w Port-Saidzie i Suezie, lecz również i obawy przed sabotażem i wypływająca stąd chęć zapewnienia włoskim transportowcom jaknajwiększego bezpieczeństwa.

Podczas dwugodzinnego pobytu w Port-Saidzie zarządzenie komisarza królewskiego zostało wykonane w całej rozciągłości. Pomimo, że była jeszcze ciemna noc, do „Colombo“ podpłynęło kilka barek i łodzi, oświetlonych migotliwymi latarniami. Siedzący w nich czarni, lub smagli przekupnie głosem wołaniem zalecali swoje towary — doskonale egipskie papierosy i tytoń, oraz jakieś tam wyborne słodycze, lecz nie zarobili ani piastra. Oficerowie czuwali, by żaden z żołnierzy nie przekroczył zakazu.

Zaczyna właśnie stawać się szaro i bledną błyski latarni morskiej, zamiatającej swemi reflektorami wody zatoki i portu, gdy prowadzeni przez pilota wchodzimy wreszcie na wody kanału sueskiego.

Statek płynie wolno pomiędzy dwoma niskimi brzegami. Wszystkich tych, którzy po raz pierwszy przepływają przez sueski kanał — a takich jest znakomita większość — ogarnia

łatwo zrozumiałe wzruszenie. Znajdujemy się w obliczu prawdziwego cudu techniki, w obliczu dzieła stworzonego mocą ludzkiego geniuszu, który podzielił dwa kontynenty, by połączyć dwa morza. Po prawej ręce mamy teraz Afrykę — po lewej Azję. Ale podczas, gdy brzegi egipskie wabią urokiem zieleni, czarem kołyszących się pióropuszków smukłych palm, podczas, gdy wzdłuż kanału ciągnie się szeroka asfaltowana autostrada — brzegi półwyspu arabskiego stoją nagie, puste, piaszczyste, pełne melancholijnej martwoty i bezgranicznego smutku. Nawet ptak rzadko przelatuje nad owymi wydymami i osypiskami, gdzie od czasu do czasu tylko pojawiają się grupy niskich, jakże nędznych lepianek, lub ukazują się na widnokręgu szeregi wielbłądów, kroczących kołyszącym się krokiem i wyciągających szyję ku jakiemuś nieznanemu celowi drogi. Obok wielbłądów mającą na tle piasków białe burnusy Arabów — tworząc jakgdyby z biblij wycięty obrazek.

Przejście statków przez kanał sueski odbywa się bardzo powoli. Pierwszeństwo mają statki-cysterny, wiozące ropę, oraz wszystkie transportowce, niosące ładunek łatwopalny, lub wybuchowy. Wymijanie odbywa się w ten sposób, że jeden ze statków, znajdujących się w kanale zatrzymuje się i czeka, aż przejdzie mimo niego statek, idący ze strony przeciwnej.

„Colombo“ potrzebował czternastu godzin na przejście przez kanał z Port-Saidu do Suez, gdzie kończy się dzieło Lessepsa, a zaczyna Morze Czerwone.

Przez owe czternaście godzin egipski brzeg kanału przedstawiał jaknajbardziej jaskrawy kontrast z pustym i wymarłym azjatyckim brzegiem.

Fomimo, że od początku włoskiej kampanji w Afryce, niezliczona wprost ilość transportowców z wojskiem przeszła przez kanał sueski — Włosi, zamieszkujący Port-Said w pokaźnej ilości 10 tysięcy dusz — uważają za święty obowiązek manifestować swe sympatje dla każdego włoskiego statku, dla każdego niemal żołnierza, przepływającego przez kanał i udającego się do Erytrej. Widok włoskiej bandery wywołuje niezmiennie poprostu szal entuzjazmu.

Droga „Colombo“ przez kanał sueski była swego rodzaju triumfalnym pochodem.

Autostradą, biegnącą wzdłuż kanału, mkną liczne włoskie samochody, ustrojone w transparenty i trójkolorowe flagi. To

warzyszą niezmordowanie posuwającemu się powoli statkowi. To wyprzedzają go, to znowu się z nim równają.

Z samochodów wysypują się całe gromady Włochów i Włoszek. Wymieniają powitalne okrzyki z oficerami i żołnierzami na „Colombo“, śpiewają wraz z nimi pieśni, podpływają do statku na łodziach i przy pomocy lin posyłają żołnierzom najrozmaitsze podarunki. Tu już nie obowiązuje surowy zakaz królewskiego komisarza.

Pewna młoda i bardzo zresztą piękna Włoszka w opisanym powyżej sposób posłała na pokład pudełko papierosów. Żołnierz, który zdobył ów podarunek, znalazł w pudełku obok papierosów złożony we czworo pięćdziesięciolirowy banknot. Nie bez humoru oświadczył on swym towarzyszom, że w tych warunkach niczego sobie więcej nie życzy, jak tego tylko, by przez całe życie mógł stale przepływać przez kanał sueski.

Chwilami „Colombo“ płynie tak blisko brzegu, że pomiędzy statkiem, a manifestantami nawiązują się rozmowy. Wymieniane są nawet adresy i obietnice korespondencji — obietnice, które naturalnie nigdy nie będą dotrzymane.

Jakiś Włoch przyjechał na powitanie „Colombo“ uzbrojony w trąbkę i przez szereg godzin towarzyszył nam stale, wygrywając na owej trąbce niezliczoną ilość piosenek włoskich, począwszy od „Czarnej twarzyczki“, aż do neapolitańskich kanzon. Popisy jego były przyjmowane niemiłkącymi oklaskami.

Jeden szczególnie samochód towarzyszył nam niezmordowanie i uparcie przez cały czas drogi kanałem sueskim. W samochodzie tym znajdowała się młoda kobieta, która powiewała stale narodową flagą, śpiewała piosenki, wznosiła okrzyki na cześć armji i była owacyjnie przyjmowana przez żołnierzy. Końbietę tę znają oddawna załogi wszystkich włoskich statków, płynących do Massaua. Znają ją pod imieniem „Maria“ i znają też jej historję.

A historia owej „Marii“ jest taka:

Jest ona żoną kolonisty włoskiego, od lat zamieszkałego w Egipcie. Z chwilą wybuchu wojny abisyńskiej, mąż jej rzucił wszystko i pojechał do Włoch, gdzie zgłosił się jako ochotnik. Dziś już oddawna przebywa w Afryce, w jednym z ochotniczych bataljonów i widział po raz ostatni swą żonę, przepływając kanałem sueskim na włoskim transportowcu.

Odtąd „Maria“ z niebywałą wytrwałością i fanatyzmem

towarzyszy każdemu dosłownie włoskiemu statkowi i żegna jadących na wojnę żołnierzy tak, jak żegnała męża. Kto wie, może owa droga autostrada, biegnąca wzdłuż kanału, stała się jezdyną treścią jej życia, może przygłusza w jej duszy niepokój o męża, może przynosi jej ulgę? W każdym razie godna jest podziwu ta jej wytrwałość i owa stale na jeden kamerton nastawiona patryjotyczna egzaltacja.

Ale nietylko zamieszkujący w Egipcie Włosi witają nasz statek. Czynią to również i liczni egipcjanie, którzy w konflikcie angielsko-włoskim widzą pomyślny moment dla wysunięcia raz jeszcze tak bolesnej i tyloma już ofiarami okupionej sprawy niepodległości swego kraju. Na owe powtarzające się codziennie demonstracje patrzą Anglicy z prawdziwie angielską flegmą.

W czasie drogi przez kanał następuje zupełnie nieoczekiwana zmiana temperatury. W Port-Saidzie powitał nas zimny, przejmujący wiatr. Staliśmy na pokładzie otuleni w płaszcze, urągając, że to ma być Afryka... Rychło skończyło się urągowsko. W ciągu kilku godzin staje się upalnie i parno. Przeżywamy przedsmak tego, co czeka nas na Morzu Czerwonym.

O zmroku zatrzymujemy się w Suezie, dość wcześnie jednak, by dostrzec pilnującą kanału flotę angielską. Te same nieśmiałe, stalowo-szare okręty, najeżone milczącymi lufami armat, zaśmiałe w groźnym spokoju — takie same, jak te, które witały nas w Port-Saidzie — były jakgdyby drugim ogniwem olbrzymiej klamry, spinającej oba krańce kanału, a zarazem ostatniem mocnem wrażeniem, żegnającym nas u progu Morza Czerwonego.

V.

Jest to wprawdzie opowieść z przed lat piętnastu, niemniej jednak opowieść łącząca się ściśle z pewnym epizodem, jakiego świadkiem byłem na „Colombo“ pod koniec mojej podróży.

Warto ją też przytoczyć, jako niezmiernie charakterystyczny przykład, jak głęboko zapuścił faszyzm korzenie w duszę narodu włoskiego, jak żywą jeszcze po dziś dzień tradycję mają wspomnienia tych chwil, kiedy to faszyzm nie panował jeszcze, lecz walczył dopiero o władzę, rozprawiając się z komunizmem, rozprzegającym kraj — krzepiąc swe własne szeregi i przygotowując się do marszu na Rzym.

W starej Sienie — w Toskanji, która była wówczas prowincją najbardziej podlegającą komunistycznemu wpływowi —

działał między innymi w 1921 roku młody faszysta, student uniwersytetu sienieńskiego — Rino Daus. Czasy to były gorące, kiedy to pomiędzy „Czarnymi Koszulami“, a elementami komunistycznymi dochodziło do nieustannych utarczek, kiedy często błyskały krótkie włoskie sztylety i przemawiały rewolwery nieodpartymi argumentami ołowiu.

Rino Daus — młody, rozpalony ideą faszyzmu chłopak — był zawsze w pierwszym szeregu walczących o nową Italię. Do stał on kiedyś od swej narzeczonej niewielki sztandarek o narodowych barwach, na którym dziewczyna wypisała kilka słów — kilka haseł. Rino Daus nie rozstawał się nigdy z tym proporczykiem i nosił go stale na sercu.

Rino Daus nie doczekał zwycięstwa rewolucji faszystowskiej. Od piętnastu lat spoczywa na cichym cmentarzu w Sienie. W czasie utarczki z komunistami zastrzelono go w czerwcu 1921 roku. Kula trafiła młodego faszystę w serce, właśnie w tym miejscu, gdzie nosił sztandarek podarowany mu przez narzeczoną. Kula przebiła wraz z sercem materiał proporczyka, znacząc na nim ślad swej drogi.

Na pokładzie „Colombo“ udawał się również do Afryki szpital polowy nr. 185, którego personel złożony jest całkowicie z lekarzy-ochotników. Na czele tego szpitala stoi wybitny faszysta, profesor chirurgii w Sienie, dr. Chiurco. Gdy miał opuścić Sienę, by udać się do Afryki Wschodniej, zjawiała się u niego sędziwa matka Rino Dausa. Wręczyła profesorowi ów sztandarek, przebitý komunistyczną kulą, która położyła kres życiu jej jedynaka. Prosiła, by profesor zabrał tę najdroższą, jaka jej pozostała, pamiątkę i uczynił z owego proporczyka znak szpitala polowego.

Na drugi dzień po opuszczeniu Suezu odbyła się na pokładzie „Colombo“ mała, wzruszająca swą prostotą uroczystość oddania hołdu sztandarkowi o wyblakłych barwach. Po krótkim przemówieniu komendanta, załoga szpitala podniosła ręce w faszystowskim ukłonie i minutą milczenia uczciła strzęp materji, porwanej komunistyczną kulą — oddając tem samem cześć ofierze faszystowskiej rewolucji.

Opowieść romantyczna... Niewątpliwie! Czyż jednak ów gest staruszki, rozstającej się w ten właśnie sposób z owym skrawkiem materji, w który wsiąkła krew jej jedynego chłopca, nie jest jeszcze jednym typowym dowodem jak bardzo wyprawa

abisyńska odczuwana jest jako dalszy ciąg faszystowskiego dzieła. Faszyzm, który uratował Włochy od bolszewizmu — chce obecnie dać tymże Włochom kolonje i wrócić im wielkość rzymskiego imperjum. Jest to jakgdyby dalszy ciąg faszystowskiej rewolucji... — —

Przyznać trzeba, że podróż na „Colombo“ nie była pozbawiona emocyj.

Taką emocją była dla nas wszystkich wiadomość, która w mgnieniu oka obiegła statek, gdy płynęliśmy leniwemi falami Morza Czerwonego. Wiadomość, że za kilka godzin „Colombo“ wyminie się z „Wienną“ na której pokładzie wraca do Włoch, mianowany świeżo marszałkiem Italji i odwołany z Erytrei — generał de Bono, dotychczasowy naczelny wódz w Afryce Wschodniej.

Pomiędzy „Colombo“, a „Wienną“ nawiązuje się kontakt radiowy. Kapitan „Colombo“ prosi „Wiennę“, by przeszła w bezpośredniem pobliżu naszego statku, ponieważ zarówno oficerowie, jak i żołnierze i załoga, pragnęliby oddać hołd nowemu marszałkowi.

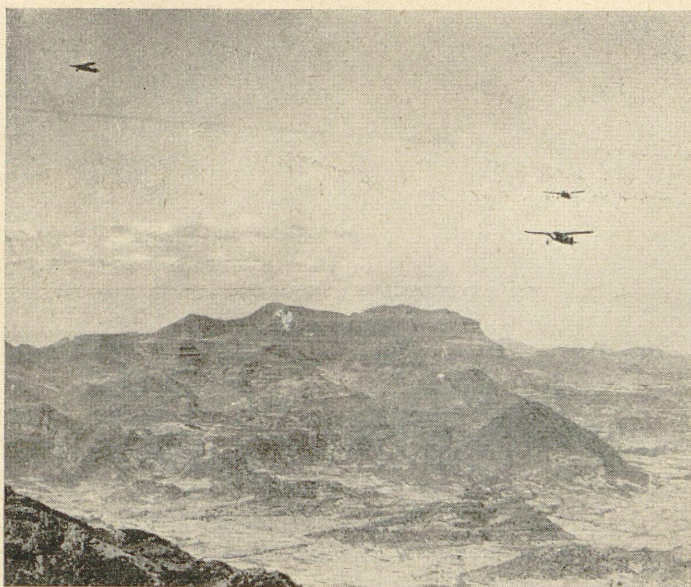
Nadchodzi odpowiedź, że prośba ta będzie spełniona. Na „Colombo“ powstaje gorączkowy ruch, choć „Wiennę“ dzieli jeszcze od nas dobre dwie godziny drogi. Pospiesznie opracowuje się ceremonjał przywitania. Żołnierze — dość swobodnie roznegliżowani z powodu coraz silniejszego upału — opinają się pospiesznie w mundury i nakładają kolonialne kaski, poczem ustawiają się na pokładach pod dowództwem oficerów. Jeden oddział — honorowy — staje z bronią u nogi, z trębaczem na skrzydle. Następują chwile oczekiwania. Lornetki uparcie szukają „Wienny“ na horyzoncie.

Wreszcie ukazuje się.

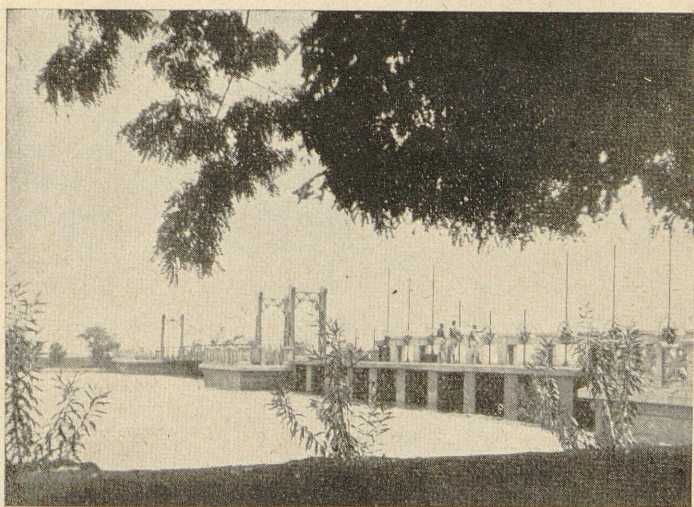
Najpierw jako odległy słup dymu — potem coraz i coraz wyraźniejsze stają się kontury statku. Już widać biały kadłub „Wienny“ i banderę powiewającą na maszcie.

„Colombo“ idzie teraz połową szybkości. „Wienna“ również zmniejsza swą szybkość i oba statki mijają się niemal burta w burtę.

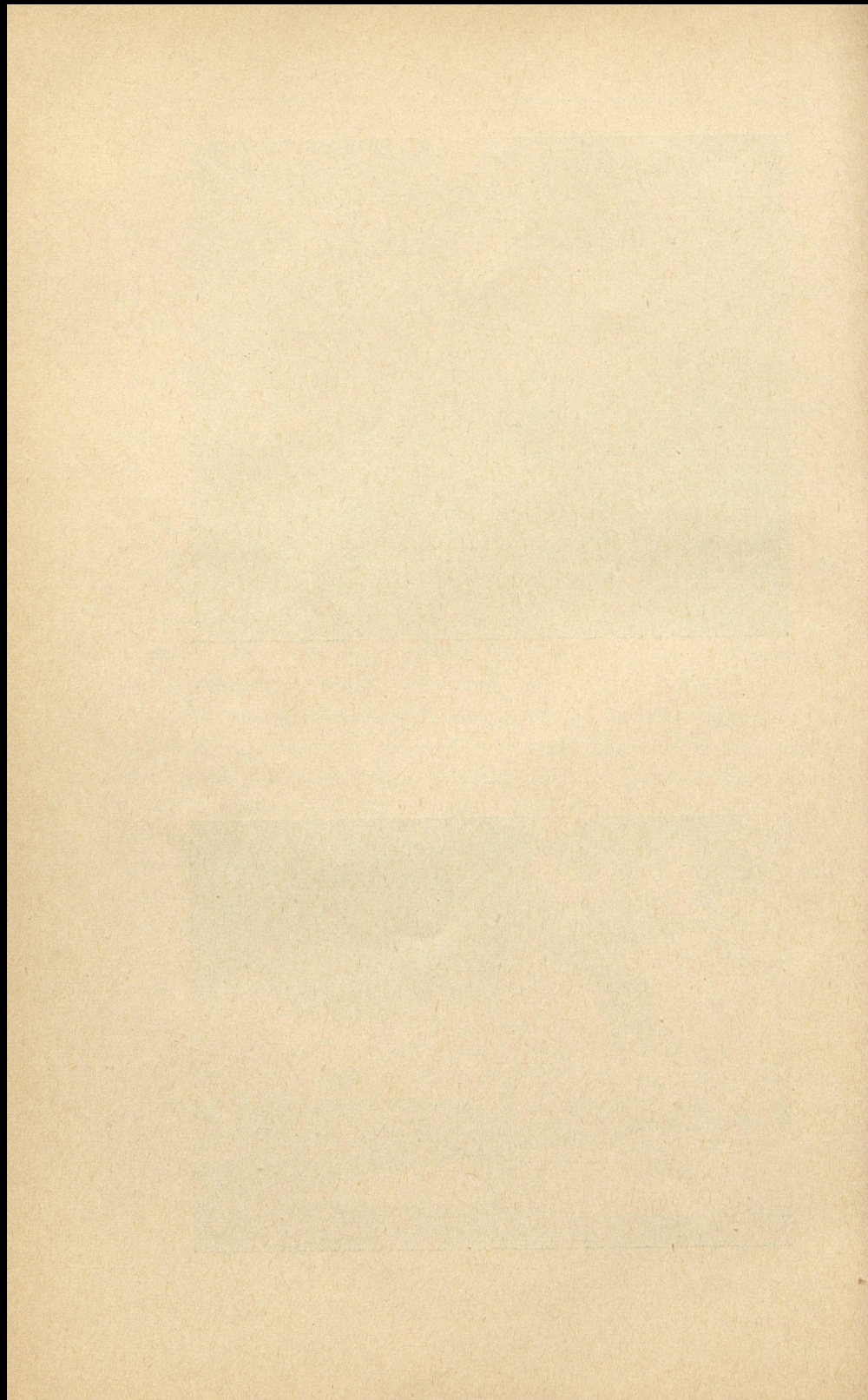
Szeregi żołnierzy stoją w zupełnem milczeniu. Gdy statki przechodzą obok siebie, rozlega się tylko potrójny ryk okrętowej syreny, mieszający się z dźwiękiem trąbki i komendą „Prezentuj broń!“, wydaną honorowemu oddziałowi.



O l b r z y m i m a s y w g ó r s k i A m b a A l a g i



T a m a n a r z e c e Ů e b i S c e b e l i w e w ł o s k i e j S o m a l j i



Tysiące oczu wpijają się w szczupłą sylwetkę marszałka de Bono, który stoi na mostku kapitańskim „Vienny” i podniesieniem ręki odpowiada na powitanie.

Trwa to zaledwie ułamek minuty. Maszyny „Vienny” zaczynają znowu pracować pełną parą i biały statek oddala się szybko od „Colombo”. Długo jeszcze patrzą za nim oczy oficerów i żołnierzy. Oczy te przesłania jakgdyby mgła tęsknoty. Ten biały statek wraca do Włoch — do ojczyzny! — ich zaś każdy obrót śruby okrętowej oddala od miejsc, gdzie pozostawili drogie osoby.

Massaua jest coraz bliżej.

Jeszcze dwa dni temu, otuleni w płaszcze, trzęśliśmy się w Port-Saidzie od zimnych podmuchów wiatru i kpiliśmy na potęgę. „A więc to ma być Afryka?” Teraz wiemy już — że to jest Afryka!

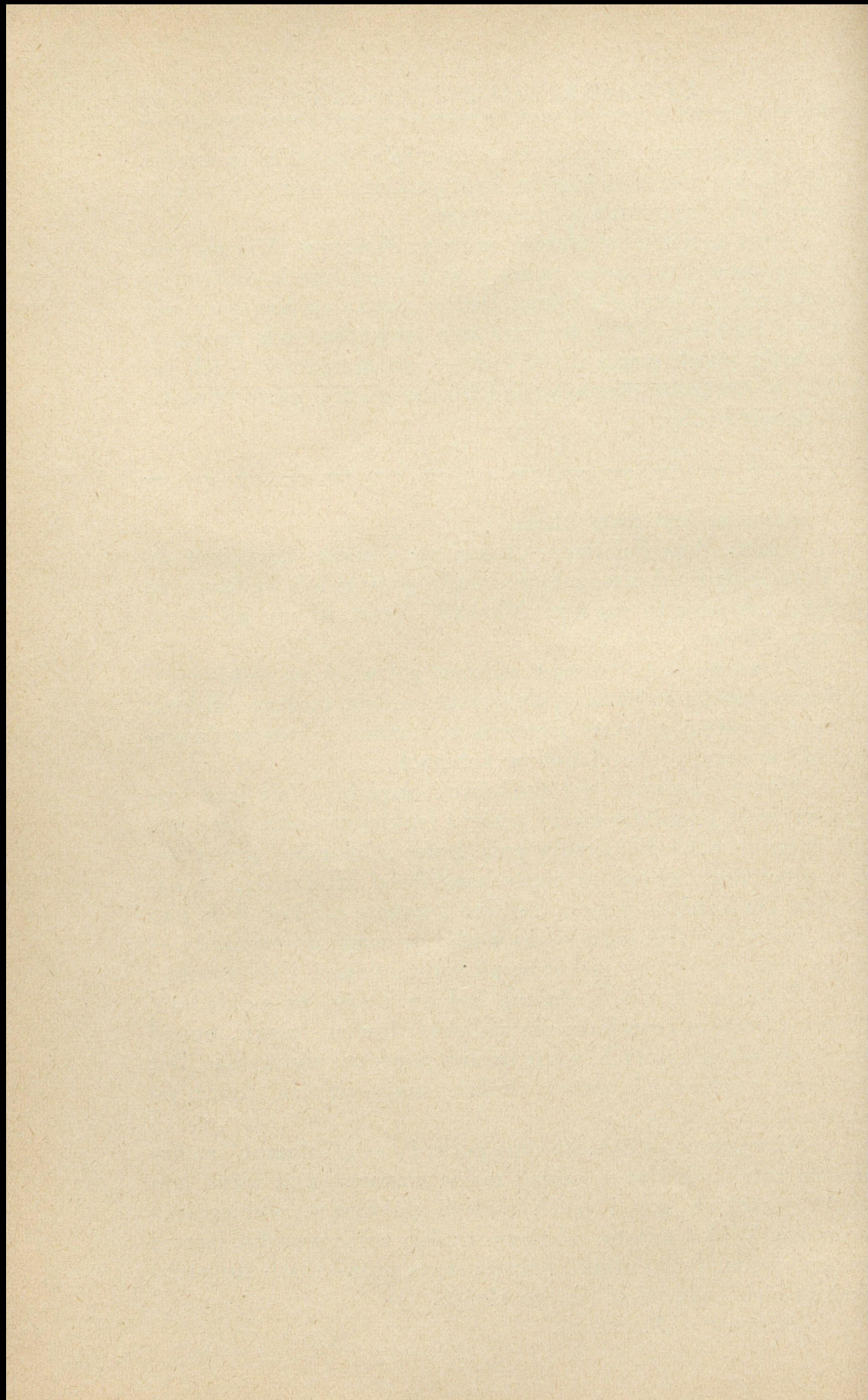
Chwilami na horyzoncie widzimy gołym okiem niskie brzegi anglo-egipskiego Sudanu, ale jeszcze bardziej czujemy bliskość Afryki w owym gorącym ciężkim powietrzu, z którym daremnie idą w zapasy wentylatory w kabinach.

Morze Czerwone jest spokojne i ociężałe, a fale jego czynią wrażenie jakgdyby cieczy gęstej i lepkiej zarazem. Już i noc nie przynosi ochłody i orzeźwienia. Bufet „Colombo” jest w stałym oblężeniu. Spijane są niesłychane ilości orzeźwiających napojów. Do każdego napoju lód, lód i jeszcze raz lód. Byle jak największy kawałek lodu — do wody, do wina, do oranżady — mało brakuje, byśmy nie wrzucali lodu również i do rosółu...

Żołnierze porzucili duszne kabiny i śpią na pokładach. Wielu oficerów przekłada sen na pokładowym leżaku, ponad przebywanie w kajutach, gdzie trudno poprostu wytrzymać. Bez humoru, pozbawieni werwy, ludzie snują się jak cienie po statku.

Aż wreszcie — ósmego dnia podróży — „Colombo” wchodzi do zatoki. Widać w oddali niskie wzgórza, a za nimi łańcuchy wysokich gór i język małego półwyspu, wybiegający w morze. Widać miasto, o którym trudno sobie wyrobić jeszcze pojęcie, widać liczne statki, prażące się w promieniach stojącego jeszcze nisko, ale jakże silnego słońca.

Jesteśmy w Massaua...



NA DROGACH I BEZDROŻACH CZARNEGO ŁĄDU

I.

Kiedy Bóg stworzył świat i odpoczywał, ciesząc się swem dziełem, przyszedł doń djabeł, wielce zatroskany, prosząc, by wyznaczono mu chociażby jedno miejsce na ziemi, gdzie mógłby się czuć tak samo dobrze, jak w piekle.

Bóg wypełnił prośbę szatana i tak oto powstała Massaua.

Czy powstała tak istotnie, jak mówi legenda? Nie wiem. W każdym razie, w czasie dwudziestoczętygodzinnego postoju „Colombo“ w awanporcie Massauy, nazwaliśmy zgodnie Massauę „miastem djabła“ i zaprawdę niema w tem nic, a nic przesady.

Wszystkie statystyczne atlasy zgodnie określają Massauę, jako najgorętszą miejscowość na kuli ziemskiej. Przeciętna roczna temperatura Massauy wynosi 30 stopni, w „najchłodniejszym“ miesiącu, którym jest styczeń, przeciętna sięga 25 stopni, a w najgorętszym — lipcu — 35 stopni.

Nie wiem, o ile są ściśle te dane, cytowane tutaj za znanyim geografem niemieckim, profesorem Hickmannem. W każdym razie — w dniu, w którym statek nasz stał na redzie w Massaua, oczekując na swą kolej, by dojść do nabrzeża i rozpocząć wylądunek — temperatura na „Colombo“ w salonie, gdzie pracowały nieustannie cztery wentylatory, wynosiła o dziewięć wieczer... 38 stopni Celsjusza. Był to dzień prawdziwych cierpień i podczas ostatniej nocy przed wylądowaniem nikt na statku nie zmrużył oka.

W kabinie otwarte są drzwi oraz iluminatory. Wentylator hałasuje nieznośnie, nastawiony na największą ilość obrotów. Po długiem oczekiwaniu dorwał się wreszcie człowiek do ła-

zienki, gdzie przez pół godziny płał się w zimnej wodzie, oddychając nieco swobodniej. „No, nareszcie!” — mówimy sobie i pewni, że zwalczyliśmy na jakiś czas nieznosny upał, wracamy do kabiny, by w pięć minut później przekonać się, że lekka siatkowa koszulka jest mokra od potu.

W Polsce — w upalne lato — zdarzają się przecież dni, kiedy słupek rtęci osiąga 35 stopni, ale jest to temperatura, utrzymująca się zaledwie przez kilka godzin. W Massaua straszne dla Europejczyka jest trwale nasilenie temperatury. Różnica ciepłoty pomiędzy godzinami południowymi, a północą, jeżeli istnieje, jest minimalna. Niema, poprostu, ani minuty wytchnienia.

Jest to przytem upał specyficznego typu, przesycony wilgocią, parny, oblepiający człowieka, niby śliskie oploty węża. Dwa lata w Massaua — oto maximum tego, co może wytrzymać londonowski „niezwyciężony biały człowiek”, który jednak jednej walki wygrać nie może — walki z klimatem.

Skoro już zawadziliśmy o Jacka Londona, okreśłmy dalej jego językiem, czym jest Massaua — owo „miasto djabła”.

Pamiętamy wszyscy te londonowskie opisy, jak gdzieś — w Alasce — na Yukonem — znaleziono złoto, jak wieść się o tem rozniosła, jak gromady poszukiwaczyw jęły ciągnąć na północ — saniami zaprzężonemi w psy, jak wyrastały z niczego ubogie faktorje, a z faktoryj miasta. Jaka szkoda, że to mroźne porównanie w niczem nie może umniejszyć spiekoty, którą bucha Massaua, niby wielki piec hutniczy.

Porównanie jest zato trafne, ale nie zew złota uczynił wielki port z nędznej, afrykańskiej, nadmorskiej miejsciny, jeno wojenne fanfary, wygrywane przez włoskich trębaczów...

Massaua, poza kilku murowanemi domami, które można policzyć na palcach — to miasto baraków i pośpiesznie budowanych składów portowych. Najlepszy port Erytrei, dzięki swemu naturalnemu położeniu, awansował w przeciągu niecałego roku na włoską bazę morską i przeładunkową.

Poprzednio zawijało tu kilka statków miesięcznie, a przeładunek miesięczny wynosił 5000 ton. W dniu, kiedy przybył do Massauy „Colombo” — w porcie — u nabrzeży i na redzie — stało okrągło sto statków, bądź wyladowujących towary, bądź czekających na pozbycie się ludzkiego i towarowego ładunku.

Miesięczny wyładunek 5000 ton jest czemś niesłychanie śmiesznym wobec 4000 ton wyładowywanych obecnie dziennie. „Colombo“ przez dwadzieścia cztery godziny musiał czekać na swą kolejkę, by dojść do nabrzeża i rozpocząć wyładunek, ale w porcie znajdowały się statki, które musiały czekać jeszcze dłużej i musiały dać nam pierwszeństwo, ponieważ „Colombo“ wiozł transport wojska.

Mały port pęka wprost, nie mogąc pomieścić i rozproszyc tej mnogości transportów. Przez Massauę przewalila się 300.000 armja włoska, przewieziona dla celów operacyjnych do Erytrei, przez Massauę przewalały się tysiączne rzesze robotników włoskich — przez Massauę szedł i idzie sprzęt wojenny i żywność dla owych mnogich tysięcy i setek tysięcy.

Wojna niszczy, ale wojna zarazem wzbogaca i nie należy wątpić, że biali mieszkańcy Massauy zadowoleni są i szczęśliwi z wojennej konjunktury. Może nie jeden z nich obudził się milionerem owego ranka, kiedy do niskich brzegów „djabelskiego miasta“ zawitał pierwszy transportowiec włoski, naładowany wojskiem — gdy po raz pierwszy nielitościwe słońce Massauy przejrzało się w ostrzach bagnów...

Ludność tubylcza również nie ma powodów do niezadowolenia. Pracuje przy przeładunku, pracuje częściowo przy rozbudowie portu i magazynów i — rzecz dziwna — jest ona znacznie mniej odporna, niż biali, na pracę w tych ciężkich warunkach. To też lwią część wysiłku musieli wziąć na siebie robotnicy włoscy, których wiele potu wsiąkło już w afrykańską ziemię.

Przyjdzie czas — może już nawet niedługo — kiedy rozpocznie się odpływ zbrojnych szeregów, jak zaczyna się odpływ morza po przypływie, kiedy skończy się wojenna konjunktura, jak wyczerpywały się żyły złota w okrytej lodami Alasce...

I wówczas Massaua obudzi się znowu pewnego dnia jako mała, morska faktoria — u wejścia do portu rzadko tylko pojawiać się będzie czarny pióropusz dymu i „miasto djabła“ przeżywać będzie w sennej, skwarnej ciszy sen o minionej świetności, kiedy to pękały od nadmiaru towarów magazyny i od nadmiaru barwnych banknotów portfele.

Wśród opustoszałych i niepotrzebnych już baraków bawić się będzie wówczas czekoladowa, tubylcza dzieciarnia.

II.

Władze włoskie doskonale zdają sobie sprawę, że klimat Massauy jest zabójczy dla Europejczyka, to też cały system wyładowywania transportów wojska jest w ten sposób zorganizowany, by pobyt w owym „mieście djabła“ trwał jaknajkrócej, by jaknajszybciej przenieść żołnierzy w wyżej położone zdrowe okolice, gdzie nie czyha malarja i inne choroby tropikalne.

Dwa bataljony, które przywiózł „Colombo“, zostały wyładowane natychmiast, gdy tylko statek doczekał się wreszcie swej kolejki i doszedł do molo. Żołnierze dosłownie ani przez godzinę nie pozostali w Massaua. Na nabrzeże zajechał długi łańcuch wielkich samochodów ciężarowych, na które szybko i sprawnie załadowano pluton po plutonie, kompanję po kompanji i pod osłoną nocy samochody, wypełnione wojskiem, wyruszyły na miejsce przeznaczenia.

Nam — dziennikarzom zagranicznym — przypadła jeszcze wątpliwa przyjemność spędzenia nocy w dusznych kabinach statku, ponieważ z Massauy do Asmary kursuje jeden pociąg dziennie i to w porze rannej. Nauczeni doświadczeniem — po jednej nocy niemal wcale nieprzespanej na statku z powodu niebywalej parnoty i upału — chcieliśmy spędzić ową noc w hotelu — w złudnej nadziei, że zastaniemy tam większe wygody i upragnioną możliwość snu. Zaczęliśmy więc wypytywać o hotele w Massaua — jak przystało na typowe, rzetelne „greenhorny“. Naturalnie, znając jeszcze Massauę tylko z pokładu statku, wyobrażaliśmy sobie, że afrykańska miejscina przygotowała na nasze przyjęcie Bóg wie jakie apartamenty. Odpowiedziano nam ze znaczącym uśmiechem, że owszem, w Massaua jest jeden hotel, ale — dodano — nie nadaje się on do spania. Zrozumieliśmy znaczący uśmiech i nie pytaliśmy już o szczegóły, zdecydowani pozostać na gościnnym „Colombo“.

Z Massaua do Asmary można dostać się albo zwyczajnym pociągiem, albo tak zwaną „littoriną“, to znaczy samochodem na szynach — mówiąc inaczej pocziwą „torpedą“, która w Polsce niedawno zaczęła sobie zdobywać prawo coraz to większego obywatelstwa. Podróż „littoriną“ trwa trzy godziny, ale traf chciał, że torpeda doznała akurat jakichś tam defektów i nie kursowała już od kilku dni. Trzeba więc było zdjąć pychę z serca i udać się do Asmary pociągiem. Jest to znacznie uciąż-

liwsza komunikacja. Przestrzeń 120 kilometrów z Massauy do Asmary przebywa pociąg teoretycznie w ciągu sześciu, praktycznie w ciągu ośmiu godzin.

A droga ta, to nie byle co! Pociąg wykonywa poprostu olbrzymi skok. Massaua leży zaledwie 10 metrów ponad powierzchnią morza, a na przestrzeni owych 120 kilometrów, które dzielą nas od Asmary, teren podnosi się do wysokości 2500 metrów. Na tej to właśnie wysokości leży Asmara, stolica Erytrei. Z tropikalnego klimatu w przeciągu owych ośmiu godzin ma nas przenieść pociąg w klimat wysokogórski.

Kolej Massaua — Asmara jest w rzeczywistości kolejką wąskotorową, zupełnie taką samą, jakie można jeszcze spotkać w Polsce. Małe wagoniki, przedpotopowa lokomotywa, sapiąca pocziwie i astmatycznie, fabrykująca ilość dymu odwrotnie proporcjonalną do swej wielkości — oto ów kolonialny pociąg, który ma nas zawieść do Asmary.

Odjazd następuje z sakramentalnem półgodzinnem opóźnieniem. Kolejka zachłystuje się dwukrotnym gwizdem i ruszamy. Zrazu biegnie pociąg piaszczystą, pustynną okolicą — wzdłuż niezliczonych baraków i magazynów, potem zaczynamy się powoli wznosić. Krajobraz staje się bardziej ożywiony. Mijamy kilka wiaduktów, rzuconych nad wyschniętymi obecnie łozyskami rzek — owych rzek, które w porze deszczowej rozlewają szeroko i pozostawiają, ustępując, bagniste kałuże, gdzie rodzi się malarja — najstraszniejsza choroba tropiku. Roślinność staje się coraz bardziej obfita — raz po raz mijamy też stada pasących się wielbłądów i ubogie osady tubylcze, raz po raz widzimy kupieckie karawany i poważne dromadery, kroczące bez pośpiechu, jak bez pośpiechu dzieje się niemal wszystko w tym kraju, wszystko — co nie ma związku z wojną.

Na stacji Ghinda, która może być słynna z tego, że posiada bar kolejowy zaopatrzony we wszelkie możliwe europejskie trunki — nie brak nawet oryginalnego monachijskiego piwa — wagoniki nasze uzbrajają się w dwie lokomotywy. Od Ghindy rozpoczyna się najbardziej malownicza i istotnie przepyszna część drogi. Pociąg wznosi się nieustannie — zatacza jakieś zupełnie fantastyczne serpentyny — to wali się na chwilę w dolinę, by znowu zacząć piąć się cierpliwie po zboczach porośniętych wspaniałą roślinnością, gdzie pola niskich kaktusów przeplatają smukłe, zadumane euforbje, wyrastające w niebo pa-

łąkami dziwacznych gałęzi. Przebiegamy liczne tunele i wiadukty, rzucone nad przepaściami i wreszcie wznosimy się tak wysoko, że u stóp naszych widzimy chmury, pełzające w górskich kotlinach. Duszne, niezdychające powietrze Massauy dawno już ustąpiło miejsca rzeźkiemu, rozkoszemu chładowi.

W czasie podróży nie brak charakterystycznego epizodu.

Do przedziału II klasy, którą jedziemy z kilku oficerami, przybyłymi wraz z nami na „Colombo“, a odkomenderowanymi do Asmary — wsiada na jakiejś tam stacyjce młoda Włoszka z dzieckiem i czarną niańką. W Nefasit — gdzie zatrzymujemy się dłużej, — na ostatnim etapie przed Asmarą — tuż przed ruszeniem pociągu, zjawia się w naszym wagonie zawiadowca stacji. Pozdrawia grzecznym ukłonem Włoszkę i prosi bardzo uprzejmie, by czarna dziewczyna przeszła bezzwłocznie do przedziału III klasy.

— Dziewczyna ma bilet klasy II — odpowiada pani z dzieckiem i sięga po torebkę, by pokazać bilet.

Ale zawiadowca stacji nawet na bilet nie patrzy. Rusza ramionami.

— Nic na to nie poradzę — mówi. — Tubylcy nie mogą jechać w tych wagonach, w których podróżują oficerowie. Dziewczyna musi przejść do innego wagonu, w przeciwnym razie będzie pani miała nieprzyjemności w Asmarze.

Czarna niańka musiała opuścić wagon i przenieść się do tego, którym jechali tubylcy.

W ten sposób zetknąłem się po raz pierwszy z systemem, który jest stosowany w większej, lub mniejszej mierze w kolonjach, naturalnie nie tylko włoskich, ale również francuskich, holenderskich i angielskich. W Asmarze istnieją osobne okienka pocztowe dla tubylców — w miejscowym kinie osobne wejścia dla „indigeni“. Biały żołnierz stoi zawsze wyżej od kolorowego podoficera i nie ma obowiązku oddawania mu honorów wojskowych.

System ten ma swoje uzasadnienie. Przejrzystym i zrozumiałym jego celem jest utrzymanie dystansu pomiędzy rasą panującą, a rasą podbitą — jest chęć utrwalenia wśród kolorowych przekonania o wyższości i władczości białego człowieka. Tę rasową wyższość różne państwa kolonialne podkreślają w różnych stopniach. Przyznać trzeba, że bodaj najogólniej i najjaśniej stosują ów system Włosi, nie doprowadzając do takich

absurdów, do jakich doszedł tu i ówdzie system kolonialny angielski. W Adenie na przykład kolorowy policjant stojący na posterunku, ma obowiązek salutowania każdego białego, który koło niego przechodzi.

Cóż można powiedzieć o samej Asmarze? Jest to miasto ładne, ale zarazem dość bezbarwne. Posiada nowozbudowaną dzielnicę europejską i nędzną dzielnicę tubylców. Posiada kilka wielkich, asfaltowanych ulic i sieć poplątanych ciemnych, wyboistych uliczek, przy których gnieźdzą się kolorowi. Posiada wreszcie katolicką katedrę, dwa koptyjskie kościoły i ubożuchny meczet, z którego wieżyczki muezzin, potrzykroć w ciągu dnia, śpiewnym głosem wzywa wiernych na modlitwy.

Asmara, jak i cały płaskowyż, na którym leży miasto, jest prawdziwym krajem wiecznej wiosny. Dni są tu upalne, a noce bardzo zimne, przyczemienne wahania temperatury — których brak jest tak ogromnie męczący w Massaua — są tu bardzo duże. Europejcykowi, zanim zaklimatyzuje się w Asmarze, dośkuca również wysokość, odbijająca się szczególnie na akcji serca. Położona na wysokości 2.500 metrów, z powodu specyficznych warunków, badanych jeszcze przez geografów, posiada Asmara rozrzedzenie powietrza równe alpejskiej wysokości trzech tysięcy pięciuset metrów. Łatwo sobie wyobrazić, że organizm nienawykły do tak odmiennego ciśnienia musi odbyć cały wewnętrzny proces dostosowania się do nowych warunków. Każdy wysiłek bywa tu wysiłkiem podwójnym, prędko przechodzi uczucie senności i nawet zdrowy zupełnie człowiek doznaje po szybkim marszu utraty oddechu.

Gdyby się chciało krótko scharakteryzować Asmarę — możnaby powiedzieć, że jest to najmniej typowe z miast kolonialnych, najmniej afrykańskie z miast afrykańskich. Gdyby nie palmy, których liście kołyszą orzeźwiający podmuchy wiatru, gdyby nie postacie tubylców w białych, przybrudzonych przeważnie szatach, gdyby nie czarne twarze i czerwone fezy kolorowych „ascari” — trudnoby było chwilami uwierzyć, że jest się istotnie w Afryce.

A właśnie z Asmarą korespondenci wojenni na froncie erytrejskim mieli jaknajwięcej do czynienia. Tutaj wyznaczono nam baraki na mieszkanie, tutaj stworzono dla naszego użytku oddział ministerstwa prasy i propagandy, stąd wyrusaliśmy w kierunku frontu na dłuższe lub krótsze wycieczki.

W chwili wybuchu wojny liczyła Asmara niecałe 22 tysiące mieszkańców, w tej liczbie zaledwie 4 tysiące białych. Byli to przeważnie urzędnicy administracji kolonialnej i oficerowie. Dziś — naturalnie — ten stan rzeczy uległ zmianie...

Powiedzmy szczerze — cała Erytrea, przed rozpoczęciem konfliktu włosko-abisyńskiego, była w pewnej mierze kopciuszką wśród włoskich kolonij. Porównanie to narzuci się każdemu, kto zna efektowne rezultaty włoskiej kolonizacji w Trypolitanii i Cyrenaice. Podobnie i kopciuszką była Asmara — ot, małe, wysokogórskie miasteczko, nazwane szumnie stolicą kolonii. Ten stan uległ jednak natychmiastowej zmianie, gdy stało się jasne, że zbrojny konflikt jest nie do uniknięcia, z chwilą, gdy Erytrea miała się stać jedną z włoskich bram wypadowych w wyprawie przeciw Abisynji. Kolonia-kopciuszek urosła naraz w znaczeniu, a Asmara, podobnie, jak Massaua, jęła nie spodziewanie doznawać błogosławionych skutków wojny.

Małe miasteczko zaczęło rosnąć jak na drożdżach. Przychodziły do Erytrei coraz to nowe transporty żołnierzy, coraz to nowe transporty środków żywności i materiałów wojennych, a skromna Asmara pęczniała dosłownie z godziny na godzinę i ku swemu zdumieniu znalazła się nagle w zaczarowanym kręgu interesów, wśród koniunktury wojennej, pleniącej się bujniej od afrykańskiej roślinności.

Zwały się do miasta oddziały wojskowe, zwały się setki oficerów, zwały się przeszło pół setki dziennikarzy z całego świata — zjawiało się wreszcie mnóstwo ludzi, którzy — jak to zwykle ludzie — przewąchali możliwość łatwego zarobku. Takiego właśnie, jaki przynosi wojna.

I Asmara jęła się dławić. Jęła się dławić powodzeniem. Małe miasteczko nie mogło pomieścić tych setek i tysięcy. Nie tylko pomieścić, ale i wyżywić. Nie był w tem bynajmniej błąd administracji włoskiej. Nie można było przewidzieć takiego rozwoju miasta, nie można było nadążyć za życiem, które spływało naraz na Asmarę pienistym wirtem. Dniem i nocą budowano baraki, by podoląć zapotrzebowaniu mieszkań. O pokoje w dwu hotelach Asmary toczyły się walki iście homeryckie, aż wreszcie uregulowano sprawę w ten sposób, że mieszkanie można było otrzymać i zająć opróżniony przez kogoś innego pokój tylko za pisemnem upoważnieniem gubernatora. Przed zamieszkującymi Asmarę kupcami stanęły nagle olśniewające perspekty-

wy. Szukacie miasta, któreby nie znało kryzysu? Ależ jest niem Asmara! Dziś stosunki już się nieco wyrównały, dziś opadła już nieco gorączka, ale były tygodnie — pierwsze tygodnie kampanji wojennej, — kiedy popyt wielokrotnie prześcignął podaż.

Jak młode wino uderzyło do głowy to powodzenie mieszkającym Asmary. Szewc nie chciał już więcej zelować butów, ruszał ramionami i proponował, by kupiono nowe. Właściciele kawiarni mogli sobie pozwolić na odmówienie temu, czy innemu gościowi szklanki kawy, bo już stu innych czekało na odrobinę upragnionego napoju. Przed sklepami z tytoniem tworzyły się długie ogonki, nieraz trzeba było czekać piętnaście minut, by nabyć paczkę papierosów. Doszło do tego, że gubernator miasta musiał energicznymi zarządzeniami zwalczać budzącą się tu i ówdzie samowolę, a że odbyło się to z faszystowską stanowczością i sprawnością, zapanowały wkrótce w Asmarze normalne stosunki. W każdym razie to miasto wygrało jakby los na loterii i wygrywa go jeszcze po dziś dzień. Na niem to sprawdza się jeszcze raz stare twierdzenie, że wojna nie tylko niszczy, lecz również żywi.

— — — — —

Afryka Wschodnia to dziwny kraj i również dziwnem miastem jest Asmara. Jest to w pierwszym rzędzie miasto smutne. Nie można go porównać ani z uroczą przytulnością Benghasi, stolicy Cyrenaiki, ani z dumną białością Trypolisu, jednego z najpiękniejszych miast, jakie istnieją. Wspominałem już o rozrzedzonym powietrzu Asmary. To powietrze Asmary przygnębia.

Całą Afrykę Wschodnią możnaby nazwać księżycową ziemią. Tak bardzo krajobraz tej części Afryki podobny jest do pustkowi i kraterów księżyca. Jeżeli określenie to jest trafne, można śmiało nazwać Asmarę księżycowem miastem. Bo też i klimat Asmary jest jakgdyby księżycowym klimatem.

Każdemu znany jest zapewne opis księżycowych dni i księżycowych nocy w słynnej powieści Żuławskiego „Na srebrnym globie“. Jakże podobne do tych opisów są dni i noce Asmary! W dzień wschodzi gorące słońce i panuje nad miastem swemi upalnymi promieniami. Po zachodzie słońca — prawie nagle — nastaje zupełna ciemność i wysoka temperatura spada na łeb, na szyję. Zarazem spada na człowieka uczucie bezmiernego smutku i przygnębiaenia, jakgdyby słońce, które odeszło, nie

miało już nigdy więcej powrócić. Być może owa raptowna zmiana temperatury jest właśnie powodem tego przygnębienia.

Zdawaćby się mogło, jakgdyby miasto zamierało, jakgdyby równocześnie zamierały serca ludzi. Bezbrzeżnie smutna i przygnębiająca jest noc w Asmarze pod kopułą nieba, wyiskrzonego gwiazdami. Smutek ten potęgują olbrzymie afrykańskie świerszcze, które przez całą noc grają niezmordowanie wśród budynków i ogrodów miasta.

III.

Jest to całkiem blisko. Wystarczy tylko zboczyć nieco na północ z nowoczesnej ulicy Asmary, zwanej „Corso del Re“ — by znaleźć się naraz w zupełnie innym świecie. W mieście tubylców, których Asmara liczy zgorą 17 tysięcy — wśród czarnych postaci o różnych odcieniach skóry, postaci odzianych w białe, najczęściej tak przybrudzone szaty, że kolor pierwotny stanowi tylko wspomnienie.

Najpierw otwiera się szeroki widok na targowisko. Wzdłuż wielkiego, wyboistego placu, nad którym stale unoszą się tumany kurzu, stoją niskie drewniane kramy, gdzie można znaleźć wszystko, poczynawszy od cebuli i czosnku, a skończywszy na tak bardzo ulubionych wśród kolorowych ludów szklanych paciorkach i wszelkiego rodzaju europejskiej i pozaeuropejskiej tandecie, jaka dała tu sobie „rendez-vous“, importowana z całego świata. Widziałem na owych kramach całe „serwisy“ z marnej porcelany, pochodzące z Czechosłowacji, a na szklance z aluminium znalazłem wygrawerowany napis „Made in India“. Wbrew zwyczajom, istniejącym na wschodnich targowiskach, przekupnie nie zachwalają tu głośno swych towarów, nie wabią klientów, lecz siedzą pełni dostojnej leniwej powagi — nieco ponurzy i osowiali — bo taka widocznie jest dusza tego czarnego ludu, będącego mieszaniną tak wielu ras i szczepów.

Po prawej stronie targowiska wybrały sobie miejsca „grube ryby“ — nie kto inny, jak tutejsi bankierzy. Kapitałiści tacy, to przeważnie ludzie już starzy i poważni — ubrani w nieodstępne białe szaty, o głowach, nakrytych słomkowymi kapeluszami, o szerokich rondach. Ich czarne oblicza otacza zazwyczaj dość skąpy, siwy zarost.

Kantor bankierski urządzony jest bardzo prymitywnie. Bankier siedzi na jednej drewnianej skrzyni, a przed sobą ma drugą skrzynię pełną srebrnych talarów Marji Teresy — monety, która — jak wiadomo — jest środkiem obiegowym w Abisynji, a i w Erytrei ma pełne prawa obywatelstwa.

Czynność bankierów polega niemal wyłącznie na sprzedaży owych talarów. A chętnych nie brak! Być w Erytrei, lub w Abisynji i nie zabrać ze sobą jednego talara na pamiątkę, lub też kilka dla obdarowania swych bliskich i przyjaciół — byłoby po prostu nietaktem, — to też pokup na talary jest olbrzymi. Kantory wymiany na wolnem powietrzu robią dobre interesy, a że ludy najbardziej nawet pierwotne znają najstarszą chyba teorię ekonomiczną, iż popyt powoduje wyżkę cen — talary Marji Teresy — z jednej strony z tego powodu, z drugiej zaś z powodu obniżenia się kursu lira — ze skromnych pięciu lirów za sztukę doszły dzisiaj do 14,30 i znajdują nadal bardzo licznych amatorów.

Po obu stronach targowiska i na sąsiednich ulicach, ciągną się sklepy złotników, robiących również niezłe interesy. Przedmiotem handlu są tu znowu pamiątki, skupywane masowo przez oficerów i żołnierzy i tych wszystkich, których zagnała tu wojna z takich, czy innych powodów. A więc można nabyć u owych złotników krzyże koptyjskie, począwszy od małych za kilka lirów, do wielkich złożonych — po 150 lirów i więcej — można tu kupić „ręce Fatmy“, srebrne pierścienie — amulety z napisami w amharyjskim alfabecie, naszyjniki i naramienniki tak bardzo ulubione przez kobiety Wschodu, kolczyki oraz srebrne pudełeczka na koran, ozdobione śmiesznymi małymi dzwoneczkami, a wszystko to robione ręcznie i niezmiernie kunsztownie wykonane.

Taki sklep czarnego złotnika zazwyczaj jest również i mieszkaniem. Wielka oszklona szafa z owymi wyrobami przedziela przeważnie „interes“ od mieszkania właściciela. Lepiej tam nie zaglądać do tych prywatnych apartamentów, bo choć „padrone“ robi dobre obroty i naprawdę nie wie co to kryzys — brud i nędzne urządzenie mieszkania mogą napęlić przerażeniem i odrazą.

Przed szafą znajduje się niemal zawsze warsztat. Na kamiennnej lub glinianej podłodze pali się małe ognisko, topi się metal w tygielkach. Mały, czarny chłopak dmucha niezmordowa-

nie w jarzące się węgle. Jego drobne płuca zastępują w zupełności mieszek. Inny — schylony nad benzynową lampką, z rurką metalową w zębach — pozłaca poszczególne ogniwa naszyjnika lub srebrny pierścionek.

Czarni jubilerzy są kapryśnym narodem. Czasami zraża ich klient targami o cenę, czasem nie chcą wogóle mówić o sprzedaży — poprostu dlatego, że nie podoba im się twarz kupującego. Wówczas nigdy niema tego, co chciałoby się nabyć lub ceny stają się naraz tak wygórowane, że muszą wystraszyć niebudzące zaufania klienta.

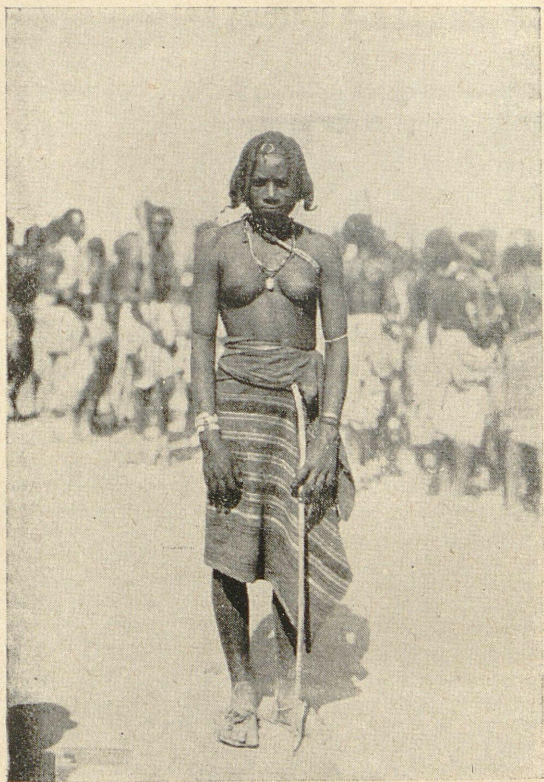
Poza targowiskiem — jeszcze dalej na północ — za studnią, skąd czerpią wodę czarne kobiety i dziewczęta, wymieniając zapewne drobne domowe ploteczki — rozpoczyna się prawdziwa tubylcza dzielnica. Na skalistym wzgórzu wznosi się cały las domków — nędznych lepianek z gliny i kamienia. Mają one przeważnie kształt prostokątny i dachy kryte falistą blachą, nie brak jednak również i typowych abisyńskich tukulów — okrągłych bez okien, krytych słomianą strzechą.

Niema tu ulic — są tylko przejścia pomiędzy domkami. Może i mają te przejścia jakieś nazwy — o tem jednak wie chyba tylko czarna ludność, która orjentuje się znakomicie w tych zaułkach. Wewnątrz domków — bieda aż piszczy. Urządzenie więcej, niż prymitywne. Jakieś drewniane łóżko z siatką, splecioną z maty — trochę jakichś szmat, przypominających łachmany, jakiś niski stół — beznogi kaleka i kilka żałośnie poszczerbionych garnków.

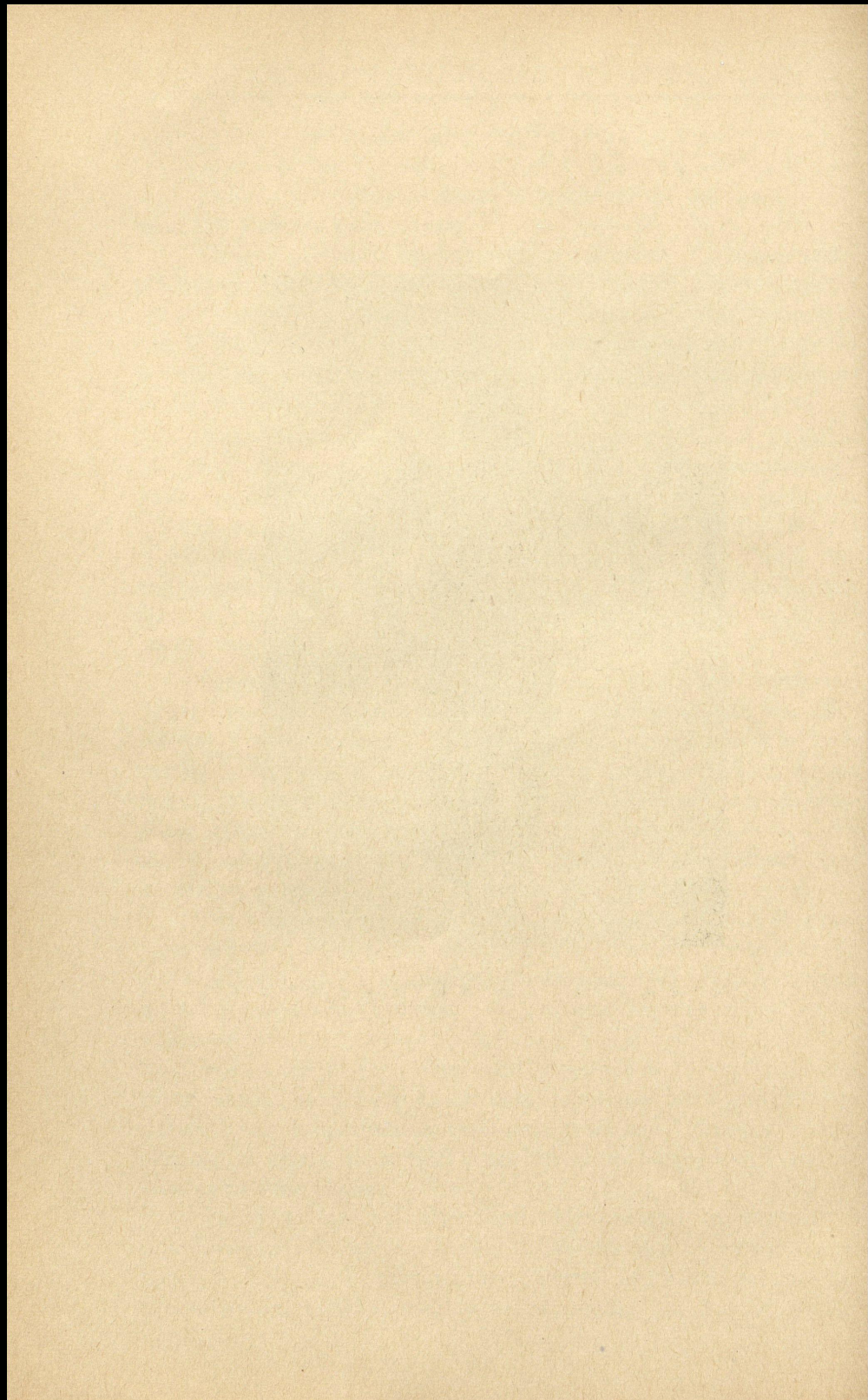
Na progach niskich chat i na blaszanych dachach wygrzewają się w popołudniowym słońcu olbrzymie bure kociska o długiej sierści i szmaragdowych ślepiach. W chatach owych mieszkają pospół „indigeni” — zarówno koptowie, jak i mużulmanie.

Na widok białego zapuszczającego się w te strony — kobiety młode i stare pośpiesznie chronią się do chat i zaryglowują drzwi, lub mijając intruza, zasłaniają twarze. Dlaczego uciekają, skoro nikt nigdy nie myślał o zrobieniu im krzywdy? Tego nie wiedzą pewnie same...

Pełno tu czarnej dzieciarni. Umorusane to, brudne — w sukienczynach, sporządzonych z jakichś tam niebywałych łachów — a przecież rozbrajające ze swemi ślepkami, pełnemi zarazem trwogi i ciekawości. Chłopcy mają przeważnie golone



N i e w o l n i c a a b i s y ŋ s k a



główki i jedynie przez środek czaszki biegnie ku czołu czub kruczych, twardych włosów. Wygląda to naturalnie wysoce groteskowo.

Szczególny popłoch budzi tu aparat fotograficzny — istnieje bowiem wśród tubylców przesąd, że człowiek, który ich fotografuje, uzyskuje władzę nad ich duszą. Starsze dzieciaki, uświadomione zapewne przez matki o tem groźnem niebezpieczeństwie, zmykają co sił w nogach, na widok skierowanego na nie obiektywu. Nie brak jednak i takich, które znają już wartość pieniądza i ulegają „świętej żądzy złota“. Te — za kilka soldów — gotowe są chętnie sprzedać swe czarne duszyczki białemu djabłu i bez wahania podpisują pakt — niby Faust z Mefistofeilesem. Wówczas starają się jaknajbardziej uczciwie wywiązać z umowy i z upodobaniem pozują do zdjęcia, najczęściej nie wiedząc, jakie znaczenie ma to skierowane na nie pudełko. Wielu z tych małych obywateli nosi na szyjach krzyżyki, zdradzające ich koptyjskie wyznanie.

— — — — —
Ciasno i blisko stoi dom obok domu, lepianka obok lepianki. Zieleni niema tu prawie zupełnie — gdzieniegdzie tylko pleni się kaktus o mięsistych liściach i ostrych kolcach. Gdy stanie się na wzgórzu, na którem leży miasto tubylców — po jednej stronie wybiega wzrok na białe, kopulaste mauzoleum, z drugiej strony natrafia na wieże koptyjskiej świątyni. Owo białe mauzoleum to przedmiot czci tutejszych muzułmanów — grób świętego marabuta, który odszedł na łono Allaha i tu został pochowany.

Rzeczy można, że pomiędzy tym grobowcem, a koptyjskim kościołem płynie leniwo nurt życia tubylczego miasta.

Podobnie jak w dzielnicach tubylczych w kolonjach francuskich, holenderskich czy angielskich i tu, mimo wysiłków Włochów nurt cywilizacji i kultury przesącza się ogromnie powoli, natrafiając wciąż na rafy ciemnoty, na tamy stawiane przez koptyjski zabobon i fanatyzm wyznawców Islamu.

— — — — —
W umysłach ludzi białych, cierpiących na pseudohumanitaryzm, kwestjonujących prawo białej rasy do ekspansji, gotowych przyznać prawo samostanowienia o sobie nawet prymitywnym ludom i szczepom — rodzą się czasem wątpliwości i sceptycyzm co do wartości zachodniej cywilizacji, niesionej ko-

lorowym. Ileż to razy — chociażby z racji włosko-abisyńskiego konfliktu — posługiwano się wyświechtanym frazesem, że rasa biała, niosąc cywilizację kolorowym ludom, niesie im najgorsze cechy tej cywilizacji — alkoholizm, choroby i demoralizację.

Patrząc na miasto tubylców w Asmarze, kręcąc się w labiryncie jego wąskich smutnych uliczek — pomyślałam o tem dlaczego nikt z owych niewątpliwie szlachetnych oskarżycieli nie doszedł do wniosku, że sytuacja przedstawia się również odwrotnie. To owe kolorowe ludy, plemiona i szczepy — w sposób właściwy ich pierwotnym naturom — same czerpią od nas to, co mamy najgorszego do darowania.

O trzy kroki niemal biegnie nowoczesna, asfaltowana ulica, nosząca nazwę „Corso del Re“, tętni życiem nowoczesna Asmara. A przecież pomiędzy temi dwoma miastami — miastem białych i miastem tubylców — stoi jakaś niewidzialna ściana, jakiś mur, z trudem kruszony przez lata, stoi ot, chociażby taki zabobon, iż aparat fotograficzny więzi duszę czarnego.

Dziwną zaiste i trudną do rozwiązania zagadką jest dla rasy białej psychika ras kolorowych.

IV.

— Jakże to więc będzie? Tak — bez śniegu? Bez choinki? Bez opłatka?...

Było to pytanie, jakie my, — trzej polscy dziennikarze — rzućmy do Asmary, jako korespondenci wojenni — zadawaliśmy sobie już na wiele dni przed zbliżającymi się świętami. Nie mieliśmy żadnej wątpliwości, że święta te dla nas, oddalonych o tysiące kilometrów od swych najbliższych, będą w tym roku dość ciężkie i przykre. Długie i jałowe były rozmowy na temat, jak urządzić tę „gwiazdkę“, by była ona w tych warunkach o ile możności miła.

Tym razem „Ufficio Stampa“ jakgdyby odgadło nasze myśli i przyszło nam z pomocą, przygotowując niespodziankę, za którą byliśmy serdecznie wdzięczni.

Tak się złożyło, że akurat w dzień wilji przybywał do Massaua książę Spoleto, by objąć dowództwo nad dywizjonem kontrtorpedowców na Morzu Czerwonym. Dziennikarzom zagranicznym zaproponowano wyjazd do Massauy na cały okres świąt, przyczem mieliśmy być świadkami powitania księcia

i spędzić Boże Narodzenie na okrętach i statkach w charakterze gości królewskiej marynarki wojennej. Rzecz prosta, przyjęliśmy tę propozycję z radością. Wilja miała być wprowadzie bez choinki i bez opłatka, ale o to byłoby równie trudno w Asmarze, jak w Massaua — miała to być zato wilja w najgorętszym porcie świata, przez który przechodzi termiczny równik, wilja wśród marynarzy, co nie każdemu dane jest przeżyć.

Wyruszamy z Asmary samochodami — wspaniałą drogą łączącą stolicę Erytrei z Massauą. Jest to zupełnie nowoczesna górską szosa, która biegnie przeważnie w pobliżu kolejowego plantu, rzadko się z nim tylko rozstając. Drogi tej nie było jeszcze rok temu. Była droga inna, ale ta nie nadawała się do masowych transportów, dlatego też w przededniu wojny wybudowano nową. Jest to niemal europejska, wyasfaltowana autostrada, po której mkną, wymijając się bez trudności, ciężarowe samochody. Trzeba widzieć na własne oczy ów teren pełen łamańców, by ocenić jak szalonego wysiłku dokonał tu włoski inżynier wspólnie z włoskim robotnikiem. O trudnościach budowy tej drogi niech świadczy fakt, że na jej 120 kilometrach znajduje się ni mniej, ni więcej jak 740 wirażów i to wirażów nie byle jakich, na których szofer „patałach“ bez większego wysiłku skrzyłby kark sobie i pasażerom.

Włoscy szoferzy są jednak najlepszymi chyba kierowcami świata. Już nie jeden raz miałem okazję podziwiać ich prawdziwą wirtuozję, z jaką prowadzą maszyny. A nasza podróż nie była łatwa.

Zaraz za Asmarą wpadliśmy w chmury i auta nasze posuwały się w mokrej gęstej mgłę przy minimalnem polu widzenia. Z jednej strony szosy wznosiły się skaliste urwiska, po drugiej ginęły w chmurach strome spadki, głębokie na kilka, czasem kilkadziesiąt metrów. Podczas tej jazdy przez chmury, trwającej około godziny, szofer nasz prowadził maszynę szybko i pewnie, wymijając przytem liczne autokolumny, wiozące transporty wojskowe. Nie trzeba zapominać, że tą szosą przechodzą wszystkie transporty sprzętu wojennego i towary wydobywane w Massaua. Dopiero za Nefasit wydostaliśmy się z chmur i chłód górski jał ustępować cieplejszym i coraz cieplejszym powiewom wiatru. Powoli zstępowaliśmy do tropiku.

Massaua sprawiła nam nową niespodziankę, przyjmując nas temperaturą zupełnie umiarkowaną. Począwszy od połowy

grudnia do końca stycznia „miasto diabła“ daje ludziom jakgdyby chwilę wytchnienia i piekielna temperatura opada do przeciętnej 25 stopni.

Umieszczono nas na „Arborei“ — statku pasażerskim, służącym obecnie za hotel dla oficerów łodzi podwodnych. Cztery z tych łodzi stoją zakotwiczone w pobliżu naszego statku.

W Massaua ruch jest ciągle olbrzymi. Wyladunek trwa dzień i noc, żórawie portowe i krany nie mają ani chwili wytchnienia. Na morzu — w oddali — snują się liczne dymy statków, bądź wchodzących do portu, bądź opuszczających go. Raz po raz przeszywa powietrze ostry zgrzyt okrętowych syren. W zewnętrznym basenie, w zapadającym mroku, rysują się ostro czarne sylwetki okrętów wojennych — kontrtorpedowców i krążowników. Massaua — to zarazem potężna baza wojenna, a okręty te wraz z ustawionymi na molach baterjami dział przeciwlotniczych strzegą bezpieczeństwa portu na wypadek, gdyby...

Trudno sobie wyobrazić z jaką rozkoszą, po problematycznych wygodach Asmary, znaleźliśmy się na pokładzie „Arborei“ — w luksusowych niemal kabinach — ciesząc się możliwością wypoczynku i upragnionej kąpieli. Humory poprawiają się wybitnie. Ktoś proponuje, by korespondencję o tej podróży do pełnych warunków kulturalnych zatytułować „Powrót Tarzana“, co budzi ogólną wesołość.

Na drugi dzień po przyjeździe na „Arboreę“ była wilja. Wilja w dużej sali jadalnej pięknego statku „Helouan“, przerbionego obecnie na pływający szpital. Dziennikarze polscy okupują wspólny stół z oficerami włoskimi. Zaczyna się ta nasza afrykańska wilja o godzinie ósmej wieczór. W Polsce jest właśnie szósta i także siadają do wigilijnych stołów...

Podczas wieczerzy nie kleiła się rozmowa, jak wąż nie rwał się każdy poruszony temat. Myśli nasze ulatywały wdal — przebywały przestrzenie, dzielące nas od naszych najbliższych. Włoscy oficerowie marynarki są również pełni zadumy. I oni myślą o swych rodzinach, pozostawionych w dalekiej Italji, leżącej za dwoma morzami.

Na krótką tylko chwilę ożywia się nastrój, gdy dowiadujemy się, że jeden z oficerów-lekarzy, siedzących przy naszym stole, brał udział w słynnej wyprawie Nobilego i przebywał na statku „Città di Milano“, będącym bazą nieszczęśliwego sterowca. W gorący wieczór wigilijny, jakgdyby wtargnął mroźny po-

wiew — zjawia się przed naszymi oczyma wizja wiecznej zimy, wizja krainy wiecznych śniegów i lodów. Jakże trudno uwierzyć w najgorętszym mieście świata w tę podbiegunową rzecz: wistość.

O północy jesteśmy świadkami uroczystości jedynej w swoim rodzaju. Na tylnym pokładzie statku, na tle wielkiej trójbarwnej włoskiej flagi, ustawiono skromny prosty ołtarz, a obok niego malutką, oświetloną elektrycznymi lampkami szopkę, sporządzoną przez marynarzy.

Rozlega się głos dzwonka i wychodzi kapelan, by odprawić pasterkę. Pasterkę—tu—na wojskowym statku w Massaua.

Było to nabożeństwo jedno z najbardziej dostojnych, jakie widziałem w życiu. Na godzinę — zda się — przestały istnieć jakiekolwiek różnice między wyznaniami. Zjawili się również na mszy protestanczy dziennikarze niemieccy, obok amerykańskich metodystów i wyznawców anglikańskiego kościoła.

Dziwna to była msza pod kopułą południowego nieba, niby pod kopułą olbrzymiej świątyni. Na ciemnym granacie tej kopuły płonęły miljarde gwiazd, wił się srebrny wąż mlecznej drogi, jak złote nity, błyszczał pas Orjona.

Wokół widniały światła stojących na redzie okrętów i statków, niby świece choinek, migocących w dalekiej Polsce. Morze leżało ciche i pełne ukojenia, latarnie statków kładły się na jego powierzchni jasnymi smugami. Dołem — od leniwie poruszających się fal — biegły jakieś szmery, jakieś tajemnicze pochłupywania — niby dalekie, tęskne westchnienia.

Po ewangelji ksiądz obrócił się i wygłosił od ołtarza krótkie kazanie, biorąc za temat słowa „I pokój na ziemi...“. Szczególnie brzmiały te słowa o pokoju w porcie wojennym i służącym celom wojny i zapadały głęboko w serca słuchaczy...

A właśnie tego samego dnia, na godzinę przed wilją, za komunikowano nam wiadomość z Londynu, że twórca sankcyj i zwolennik ich zaostrezenia został mianowany ministrem spraw zagranicznych Anglii...

V.

W pierwszym dniu Bożego Narodzenia jesteśmy wieczorem zaproszeni na pokład admirałskiego okrętu, którym jest krążownik „Bari“. Na „Bari“ odbywa się świąteczna loteria, urządzona dla marynarzy. Wszystkie okręty wojenne są rzeźbione ilu-

minowane i na tle czarnego nieba wyglądają niby pałace z bajki. Każda wygrana sygnalizowana jest kolorowymi raketami, a główne wygrane oznajmia strzał armatni innym okrętom eskadry.

Lekki krążownik „Bari” jest okrętem posiadającym bogatą historję. Historję, zasługującą na zanotowanie.

Przed wojną światową rząd rosyjski dał stoczniom niemieckim w Szczecinie zamówienie na wykonanie krążownika. Krążownik ten miał nosić nazwę „Murawiew Amurskij” i na masztach jego miała powiewać carska bandera. Okręt został istotnie wykonany — zanim jednak zdołała go odebrać rosyjska flota, zanim zdołał odbyć się chrzest okrętu, zanim podniesiono na nim rosyjską banderę — wybuchła wojna światowa.

Rzecz prosta, rząd niemiecki natychmiast skonfiskował okręt. Krążownik przemianowano na S. M. S. „Pillau” i powisała nad nim niemiecka bandera. Ale banderę tę nosił okręt zaledwie przez cztery lata. Przyszła klęska Niemiec, przyszedł kres dumnej niemieckiej floty.

Przez dwa lata okręt był bezpański. Pozostawał w ręku aliantów, którzy podzielili między siebie jednostki niemieckiej floty wojennej tytułem odszkodowania. Niedoszły „Murawiew Amurskij”, a późniejszy „S. M. S. „Pillau” przypadł w tym podziale Italji. Od 1920 roku krążownik nosi nazwę „Bari” i płывa pod włoską banderą.

Na rufie okrętu, u wejścia do kasztelu, widnieje dziś wielka faszystowska różga liktorska i dumny napis „Signum victoriae — victoriam teneat” („Znak zwycięski — osiągnięcie zwycięstwo”). Obok zaś, nieco poniżej, znajduje się stary dzwon okrętowy. Każdy dzwon okrętowy nosi nazwę statku. Na owym dzwonie pozostawiono dawny napis „S. M. S. „Pillau” — „Okręt Jego Królewskiej Mości „Pillau” — i tylko obok niemieckiego napisu umieszczono nazwę „Bari”... Ten dzwon w owych dwu krótkich napisach zawiera całą historję wielkiej wojny i całą tragedję niemieckiej floty. „Jego królewska mość” dożywa dni swoich w dalekim holenderskiem Doorn, a okręt jego już od lat piętnastu nosi włoską banderę. „Habent sua fata... okręty”.

Jeden z dziennikarzy niemieckich zaproszony na „Bari”, obejrzał ów dzwon okrętowy i odczytał wymowne napisy.

Spotkali się na wodach Morza Czerwonego, w afrykańskim porcie, po latach — niemiecki dziennikarz i okręt, który był niegdyś niemiecki. Spotkali się w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Ów dziennikarz był chyba pierwszym Niemcem, jaki od chwili osławionej drogi do Scapa Flow, wstąpił na pokład tego krążownika.

Niemiecki dziennikarz postał chwilę, podumał, poczem podszedł do burty okrętu i oparł się o jej stalowe sznury. Nie odgadując, co dzieje się w jego duszy — podszedłem do niego. W świetle różowego lampionu ujrzałem pobladłą twarz, ściągnięte rysy, zagryzione wargi i oczy pełne łez.

Niemiec płakał...

Oddaliłem się cicho. Zrozumiałem, że niemiecki dziennikarz i ten okręt mają sobie wiele do powiedzenia. Zostawiłem ich samych...

Na krążowniku trwała dalej zabawa. Raz po raz, to z lewej, to z prawej burty, wystrzelała rakietą i odpowiadały jej rakietę z innych okrętów. Czerwone, żółte, zielone i fioletowe — rakietę wzbijały się w górę i rozsypywały w bukiet gwiazd, które spadały i gasły w morzu, podobne wielkim świetlistym łzom.

VI.

Gdy Włochy przygotowywały się do wojennej wyprawy przeciwko Abisynji, musiano pomyśleć również i o rannych — musiano pomyśleć także o sposobie transportowania do Italji żołnierzy chorych i dotkniętych tropikalnymi chorobami. W ten sposób powstała konieczność stworzenia szpitalnych statków.

Rozwiązano tę trudność bardzo łatwo i prosto — przeobrażając szereg statków pasażerskich na pływające szpitale. W czasie świątecznego pobytu w Massaua miałem sposobność zwiedzić dokładnie jeden z takich statków szpitali, noszący nazwę „California“.

„California“ kursowała przed wojną pomiędzy Triestem, a kanadyjskim portem Vancouver. Był to luksusowo urządzony statek o pojemności trzynastu tysięcy ton, który obok pasażerów, niósł zazwyczaj także ładunek, przeważnie ładunek zboża z urodzajnej Kanady do mniej bogatej w zboże Italji. W przededniu wojny nastąpiła przemiana „Californii“ na statek szpitalny. W rekordowym czasie pięćdziesięciu dni — kosztem 4 i pół

miljona lirów — „Californię“ gruntownie przebudowano i z dawnej jej świetności pozostała tylko nie mająca sobie równej, wspaniała sala jadalna — urządzona w stylu średniowiecznego żaglowca. Wszystkie pomieszczenia zostały dostosowane do celów leczniczych i „California“ pełniąc służbę samarytańską, jest dziś pływającym szpitalem, który w niczem nie ustępuje wielkim europejskim klinikom i sanatorjom.

Statek-szpital obliczony jest na 806 łóżek. Posiada pięć oddziałów — dwa chirurgiczne, dwa wewnętrzne i ściśle izolowany oddział chorób zakaźnych. Sale dla chorych są piętrowej wysokości. Specjalne urządzenia wentylacyjne tłoczą do owych sal chłodne powietrze. Może sobie w Massaua prażyć upał, jak mu się podoba, w pomieszczeniach szpitalnych na „Californji“ utrzymuje się niezmienna temperatura 22 stopnie Celsjusza. Wygodne sprężynowe łóżka ustawione są w dwa rzędy — jeden nad drugim. Każdy chory posiada przy łóżku wysuwany stoliczek z wycięciami na talerz i szklankę, oraz siatkowy woreczek na podręczne drobiazgi. Podłogi wykładane są ksylolitem.

Pozatem statek-szpital posiada dwie sale operacyjne — mniejszą dla drobnych, większą dla poważniejszych zabiegów chirurgicznych, kompletnie urządzony gabinet roentgenologiczny, laboratorium bakterjologiczne, podręczną aptekę i apteczne składy, oraz dwa gabinety dentystyczne. Wszystko to lśni białym lakierem i błyszczy wypolerowanym metalem. Sala narzędzi i sala przygotowań operacyjnych niczem nie ustępuje lądownym szpitalom. Trzeba tu jeszcze dodać, — na co w czasie zwiedzania „Californji“ zwróciłem specjalną uwagę — że wszystkie urządzenia szpitalne są wyrobu włoskiego i nic przy przebudowie statku nie sprowadzano z zagranicy.

Na pokładzie „Californji“ pełni służbę jedenastu lekarzy, obok nich siostry włoskiego Czerwonego Krzyża — wolontariuszki, rekrutujące się przeważnie z arystokratycznych rodzin włoskich, oraz personel sanitarny.

Pytam o chorych. Nie jest ich wielu. Na 806 łóżek zaledwie sto kilkanaście zajętych. Na oddziale chirurgicznym jakieś drobne złamania, pozatem przeważnie operacje wyrostka robaczkowego i raptury. Na oddziałach wewnętrznych — grypa, na zakaźnym wreszcie kilkanaście wypadków tyfusu i paratyfusu. Malarji ani śladu. Jest to pora roku, kiedy nawet w Massaua malarja na krótki czas wygasa niemal zupełnie.

— A ranni? — zapytuje. — Ranni z frontu?...

Oprowadzający dziennikarzy lekarz naczelny rusza ramionami i na twarzy jego pojawia się szczególny uśmiech.

— Ranni... — odpowiada ze znaczącym brzmieniem głosu. — Nie mam w tej chwili na statku ani jednego rannego z frontu... W tej wojnie prawie niema rannych...

Milczenie, jakie zapada po tych słowach, jest jeszcze bardziej wymowne. Już nie pytamy o bliższe wytłumaczenie — rozumiemy dobrze. W tej kolonialnej wojnie niema pardonu...

Italja rozporządza ośmioma takimi statkami szpitalnymi, jak „Californja“. Są one jednostkami samowystarczalnymi. Kompletnie wyekwipowane we Włoszech, w czasie postoju w porcie nie zaopatrują się ani w żywność, ani w wodę. Wszystko jest obliczone tak, by wystarczyło na okres drogi i na dwumiesięczny mniej więcej pobyt w Massaua. Po okresie tym statek-szpital powraca do Italji, odwożąc na swym pokładzie rannych, przekazanych przez szpitale polowe, oraz tych chorych, dla których wskazany jest powrót do ojczyzny.

Biała „California“, stojąca na redzie w Massaua jest czemś, co musi imponować, co musi wzbudzić rzetelny szacunek dla wielkiej troski, jaką rząd faszystowski okazuje dla obywatela-żołnierza, walczącego w Afryce w warunkach tak trudnych i niewdzięcznych.

— — — — —
Jeszcze nie rozpoczęły się działania wojenne w Afryce Wschodniej, a już w prasie europejskiej pojawiły się wiadomości o rozlicznych chorobach, dziesiątkujących jakoby armję włoską, pojawiły się wiadomości upstrzone nawet gęsto „autentycznymi“ cyframi, wiadomości wyliczające, jak wiele tysięcy żołnierzy włoskich uległo fatalnemu klimatowi, jak wiele tysięcy musiano jaknajszybciej odtransportować do ojczyzny, zupełnie niezdolnych do walki.

Skoro już mowa o „Californji“ i o okrętach szpitalnych, należy stwierdzić przy okazji, że owe wiadomości były jeszcze jednymi z serji tych, które należy między bajki włożyć. Niewątpliwie klimat Afryki Wschodniej jest ciężki i wymaga przyzwyczajenia, niewątpliwie prowadzenie wojny w tym klimacie musi być dla Europejczyka rzeczą szczególnie uciążliwą, niewątpliwie też istnieje bardzo wiele jednostek, które z tych, czy innych powodów klimatu Afryki Wschodniej znieść nie mogły.

To wszystko prawda i jest to zresztą rzecz naturalna, natomiast wierutnem kłamstwem jest, by Włosi w Afryce padali „jak muchy“. Nietylko nie padają, ale cieszą się w 90 procentach znakomitem zdrowiem.

W licznych szpitalach polowych, rozsianych na okupowanych terytorjach, znajduje się — obok rannych — zadziwiająco mała liczba chorych. Żołnierz włoski na froncie i poza frontem znajduje się pod doskonale zorganizowaną opieką lekarską. Dostosowany do warunków klimatycznych sposób odżywiania sprawia, że od początku działań wojennych nie zanotowano na froncie erytrejskim ani jednego wypadku szkorbutu — strasznej choroby, powodowanej, jak wiadomo, brakiem pewnych witamin. Również wypadki zachorowań na ową legendarną niemal malarję, o której tyle się pisze w związku z wojną w Afryce — są nadspodziewanie rzadkie. Stan zdrowotny armji włoskiej operującej na froncie erytrejskim przeszedł wszelkie nadzieje włoskiego dowództwa. Trzeba tu jeszcze podkreślić z naciskiem, że o ile chodzi o porę deszczową, armja włoska w znakomitej swej większości przebyła już jeden okres deszczów w Afryce Wschodniej, bezpośrednio przed rozpoczęciem działań wojennych i przebyła ów okres dobrze. Następna pora deszczowa za stanie armję włoską jeszcze lepiej przygotowaną.

Mógłby ktoś powiedzieć, że Włosi pokazywali korespondentom zagranicznym tylko to, co chcieli, że nietrudno wobec tego przyszło im pochlubić się tym, czy innym szpitalem polowym, w którym większość łóżek świeciła pustkami. Piszący te słowa interesował się jednak szczególnie stanem zdrowotności armji włoskiej, dlatego właśnie, że jeszcze przed wyjazdem do Erytrei obijały się o jego uszy wiadomości wysoce alarmujące.

To było tedy powodem, że zwróciłem się do władz włoskich z prośbą, by drogę powrotną z Erytrei do Neapolu pozwolono mi odbyć na pokładzie szpitalnego statku. Prośba moja została spełniona bez żadnych trudności, a prosty traf zrządził, że ową drogę powrotną do Europy odbyłem właśnie na „Californji“. W tych warunkach, naturalnie, już nic nie można było ukryć, nawet gdyby się chciało, to też miałem sposobność przekonać się raz jeszcze, że nie myliły mnie moje obserwacje poczynione w Erytrei nad stanem sanitarnym wojsk włoskich.

Gdy odpływa statek szpitalny, wszystkie szpitale polowe kierują na jego pokład tych chorych i rannych, którzy zdaniem

lekarzy wojskowych powinni odbyć rekonwalescencję w kraju, lub których leczenie wymaga dłuższego okresu czasu. W przeddzień opuszczenia Massauy zapelnily się też oddziały szpitalne na „Californji“, zajęte zostały wszystkie łóżka, podczas, gdy w czasie postoju liczba chorych na „Californji“ nie przenosiła stu.

Jacy chorzy znajdowali się na okręcie-szpitalu, powracającym do Neapolu?

A więc w pierwszym rzędzie ranni, przeważnie ranni kulami „dum-dum“, powodującymi straszne rany, wymagające długiego leczenia. Rannych było jednak niewielu, bo jak już wspomniałem jest ich wogóle niewielu w tej wojnie. Natomiast „California“ wiozła pewną ilość chorych na tyfus i na tropikalną gorączkę. Zauważyłem również wypadki furunkulozy. Najwięcej było bronchitu, co da się łatwo wytłumaczyć olbrzymimi wahaniami temperatury i różnicami pomiędzy dniem i nocą, właściwymi Afryce Wschodniej. Pytałem o wypadki malarji. Nie było ani jednego.

Znakomita jednak większość chorych — znacznie więcej, niż połowa — były to poprostu jednostki zmęczone klimatem, do którego nie były przyzwyczajone. Owi chorzy już za Port-Saidem, czuli się niemal zupełnie dobrze, a do Neapolu przybyli prawie zupełnie zdrowi.

Ludzie, którzy w walce z wrogiem i znienawidzonym faszyzmem nawet w klimacie afrykańskim szukali tęsknie sprzymierzeńca, muszą się wyrzec jednego złudzenia. Klimat nie przyczyni się z całą pewnością do niepowodzenia Włoch w wojnie z Abisynją.

VII.

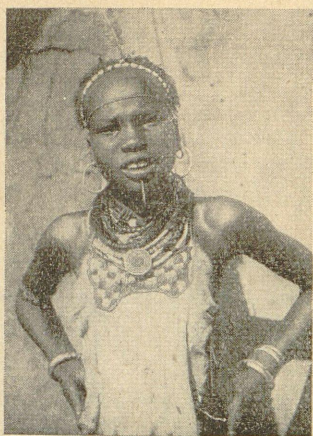
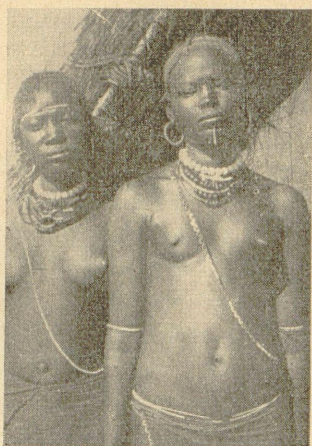
Jeżeli bardzo wiele osób niewprzęgniętych w rydwan masonerii i socjalizmu, niemających absolutnie żadnych ideowych porachunków z ustrojem, panującym we Włoszech, mimo to popiera akcję włoską w Afryce Wschodniej i staje po stronie Abisynji, to przyczyną tego są momenty czysto uczuciowe. Momenty uczuciowe wypływające z tego, że ludzie ci są źle poinformowani, że zręczna propaganda wmówiła w nich, iż są świadkami jakiejś wielkiej historycznej krzywdy i niesprawiedliwości. Propaganda ta umiała też sprytnie zasłonić przed oczyma owych bezkrytycznych sentymentalistów prawdę o Abisynji.

A więc gdzieś tam, pod słońcem tropiku, ma się jakoby dokonywać olbrzymia dziejowa tragedia. Ginie państwo i ginie naród. Tak wyglądają te sprawy w oświeceniu wielu odłamów wrogiej Włochom prasy, jednakże rzeczywistość wygląda zgoła inaczej.

Każde tego rodzaju zagadnienie, jak zagadnienie abisyńskie, jeżeli nie ma się dojść do nieomylnie fałszywych wniosków, nie może być traktowane ani całkowicie w oderwaniu, ani też w połączeniu z tą, czy inną martwą zasadą, a właśnie z takiej martwej zasady wypłynęło ogłoszenie Italji napastnikiem. Nie można kwestji włosko-abisyńskiej traktować w oderwaniu od lokalnych warunków, od zagadnień etnograficznych i terenowych, wreszcie od warunków socjologicznych. Prostu, by zrozumieć kwestję abisyńską trzeba zejść na grunt abisyński. Trzeba zobaczyć Abisynję taką, jaką jest ona w rzeczywistości, a nie taką, jaką ją sobie wyobraża wielu europejczyków, pełnych wszechludzkich haseł.

Abisynja nie jest ani państwem, ani narodem. Państwo abisyńskie jest to poprostu obszar, który przetrwał w obecnym stanie do naszych czasów, jedynie dzięki specyficznym warunkom geograficznym. Przecież Abisynja była nawet w pewnym sensie krajem bez granic, bo na przykład nigdy nie istniały jasno określone granice pomiędzy Abisynją, a włoską Somalją.

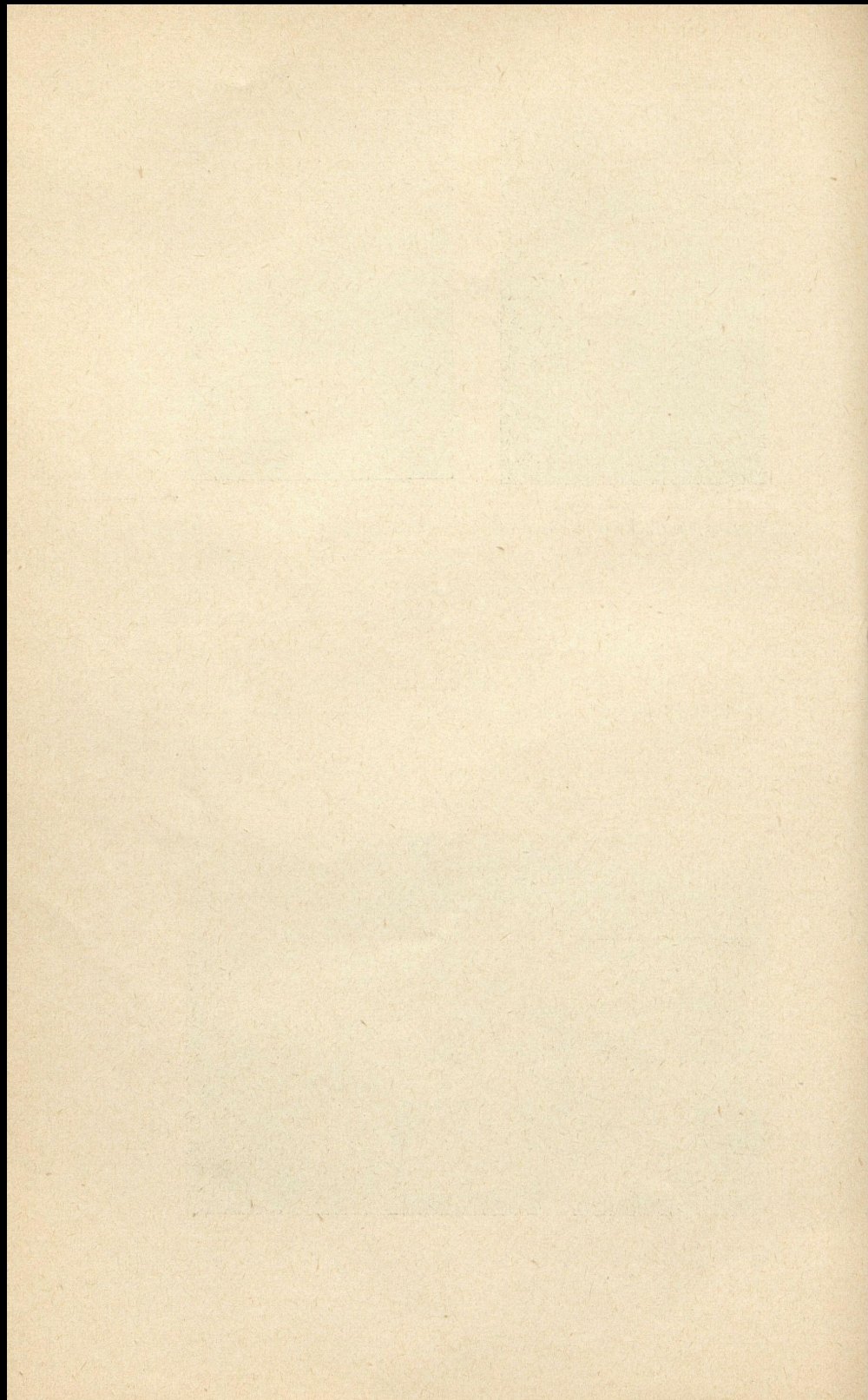
Abisynja jest typowym krajem szczepowym, zamieszkałym przez liczne szczepy i plemiona, różniące się pomiędzy sobą pochodzeniem, wyznaniem i językiem. Wszystkie te szczepy zostały podbite i ujarzmione przez szczep Amharów, który jest po dziś dzień szczepem panującym, panującym często w atmosferze szczerzej nienawiści podbitych plemion. Nie jest też Abisynja skonsolidowana wewnętrznie, nie ma możliwości ani zapewnienia bezpieczeństwa swym własnym obywatelom, ani też kolonjom państw europejskich, które z nią sąsiadują. Jest to pod każdym względem kraj znajdujący się na jednym z najniższych stopni kultury. Poszczególne prowincje abisyńskie rządzone są samowolą rasów, nieustannie rywalizujących ze sobą, rasów, z których każdy marzy stale o koronie „króla królów”. W tym stanie rzeczy mniejsze lub większe, mniej lub więcej krwawo tłumione powstania są w Abisynji na porządku dziennym i nie będzie przesady, jeżeli się powie, że w Abisynji panowała i panuje wieczna wojna wszystkich przeciwko wszystkim.



T y p y k o b i e t a b i s y Ń s k i c h



W ł o s k i s z p i t a l p o l o w y



Jest rzeczą godną zastanowienia, co sprawiło, że Abisynja trwa dotąd w konserwatyźmie ciemnoty i dzikości, co stanowiło po dziś dzień główną zaporę, broniącą kraj „króla królów“ przed zeuropeizowaniem. Złożyło się na to naturalnie bardzo wiele przyczyn, ale jednym z najważniejszych czynników hamujących, a czynnikiem od wieków przemożnym w Abisynji, jest nie co innego, jak koptyjskie wyznanie i kler koptyjski.

Od osoby, obeznanej doskonale ze stosunkami panującymi w Abisynji, słyszałem charakterystyczne zdanie, że było największym nieszczęściem Abisynji, iż w kraju tym nie zwyciężył ani katolicyzm, ani też islam.

Wydaje się to trafnem ujęciem zagadnienia, istotnie bowiem tam, gdzie dotarł islam, wytworzone zostały inne warunki bytu. Ludność muzułmańska Abisynji jest z pewnością elementem stojącym kulturalnie bez porównania wyżej od ludności koptyjskiej. Sprawily to rygorystyczne przepisy koranu, regulujące życie, sprawily to liczne nakazy odnoszące się do czystości osobistej i do przyrządzania pokarmów.

Fatalne dla Abisynji losy nie pozwoliły jednak, by za triumfował w tym kraju katolicyzm, liczący dziś zaledwie 12 tysięcy wyznawców na całym obszarze Abisynji. Religją panującą stało się wyznanie koptyjskie i bez zapoznania się z koptyzmem, trudno mówić o Abisynji, trudno zrozumieć Abisynję.

Naogół o wyznaniu koptyjskiem wie się w Europie bardzo mało i bardzo słabe ma się o niem pojęcie. To też każdego, kto zapozna się z niem bliżej — ogarnia całkowicie usprawiedliwione zdumienie. Zdumienie i przerażenie wobec owego tonącego w ciemnocie sekciarstwa, wobec tego pomieszania pojęć, które z chrześcijaństwem potrafiło pogodzić i ulegalizować instytucję niewolnictwa. Czy wreszcie nie popełnia się jakiejś wielkiej omyłki, nazywając wyznaniem chrześcijańskiem ów niesamowity bigos religijny, ów potworny wyznaniowy zlepek, tworzący religję koptyjską? Jeżeli jest to chrystjanizm, to w każdym razie tak skażony i zaśmiecony, że możnaby go poprostu nazwać groteską chrystjanizmu, gdyby to wszystko nie było zbyt ponure i — przykre.

Wyznanie koptyjskie wyrosło na podłożu judaizmu i bodaj jest w niem więcej tradycji żydowskich, niż chrześcijańskich. Judaizm dominuje w koptyźmie w sposób rzucający się w oczy. A więc istnieje kult Salomona, istnieje w koptyźmie

obrzędek obrzezania, w świątyniach koptyjskich istnieją „arki przymierza“, których tradycja związana jest jaknajsilniej z żydowskimi tradycjami. Starożydowski jest też zwyczaj niedopuszczania ludu do „sacro sanctum“, — analogiczny zakaz obowiązywał również w jerozolimskiej świątyni.

Podczas uroczystości i świąt koptyjskich, kler wyznania koptyjskiego wykonywa tańce rytualne, podobne rytualnym tańcom starożydowskim. Dodajmy jeszcze, że kler ów, nie uznając celibatu, wytworzył równocześnie dziedziczość stanu kapłańskiego — co znowu ściśle zahacza o starohebrajskie tradycje.

Gdyby jednak kończyło się to na tem! Koptyzm wchłoniął w siebie równocześnie całe mnóstwo czysto pogańskich obrzędów, które muszą wzbudzić odrazę w każdym cywilizowanym człowieku, że wspomnę tylko o istniejącem po dziś dzień rytualnem jedzeniu surowego mięsa, rozdzielanego przez kler pomiędzy lud w czasie niektórych uroczystości. Cała Abisynja — wraz z negusem, znajduje się niemal dosłownie w niewoli koptyzmu, który jakgdyby w obawie utraty swoich wpływów szerzy wśród ludności zabobony i przesady, mające celowo utrzymać Abisyńczyków w jaknajwiększej ciemności.

Abisyńczycy nie myją wodą policzków, bo jest to obrazą boską. Prawowierny kopty nie będzie obrabiał żelaza z obawy, by dusza jego nie wcieliła się po śmierci w ciało hjeny, będzie też uciekał w popłochu przed fotograficznym aparatem, ponieważ wierzy, że ten, kto go sfotografuje, bierze jego duszę w więzłą niewolę.

Takich i tem podobnych przykładów możnaby naliczyć mnóstwo. Dodajmy do tego, że w całej Abisynji kwitnie w najlepsze niewolnictwo, że kler koptyjski uznaje niewolnictwo za uświęconą instytucję państwową i że negus w swych nieśmiałyach usiłowaniach zmiany tego stanu rzeczy natrafił na tak silny opór kleru koptyjskiego, że musiał zrezygnować ze swych zamierzeń w obawie utraty tronu. I dodajmy jeszcze, że właśnie święte miasto Axum — dziś znajdujące się w posiadaniu Włochów — było zarazem do ostatnich czasów największym ogniskiem handlu kobietami.

Czyż można się dziwić, że w tych warunkach i w tej atmosferze ludność abisyńska żyje w straszliwym wprost brudzie i niechlujstwie, że mieszka w swych nędznych tukulach, czyli okrągłych, krytych strzechą domkach bez okien — w warunkach

o jakich trudno mieć pojęcie, gdy nie zajrzało się do wnętrza takiego „tukulu“. O niskim, prymitywnym stopniu cywilizacji świadczy fakt, że ludność Abisynji nie zna użycia koła, że ci członkowie Ligi Narodów nie znają tem samem zastosowania wozów i nie mają pojęcia co to jest gwóźdź. Wśród ludności panuje głód i szerzą się choroby, swobodnie krążą trędowaci, a syfilis i gruźlica dziesiątkują ludność, której procent stale się zmniejsza.

W stosunku do niewolników i do przestępców stosowane są po dziś dzień straszne kary. Na porządku dziennym jest odrąbywanie rąk lub nóg, poddawanie najbardziej wymyślnym torturom za drobne stosunkowo przewinienia, na porządku dziennym jest noszenie ciężkich kajdan przez dzieci niewolników. Jak każdy naród, stojący na prymitywnym szczeblu cywilizacji, abisyńskie szczepy mają głęboko zakorzenione zamiłowanie do okrucieństwa. Jednym z takich aktów okrucieństwa jest przecież używanie kul „dum-dum“, drugim jest barbarzyńskie znęcanie się nad rannymi jeńcami włoskimi i okaleczanie ich w sposób nieludzki, lecz zgodny ze starą i wstrętną tradycją abisyńską. Wie o tem dobrze Liga Narodów. Sekretarjat Ligi otrzymał szereg dokumentów i fotografii stwierdzających barbarzyńskie i ohydne znęcanie się nad rannymi jeńcami włoskimi. Liga Narodów jest jednak konsekwentna. Przeszła nad owymi dokumentami do porządku dziennego. Jest konsekwentna, jest daleka od przyznania się do omyłki, bo przecież jest tylko narzędziem w ręku mocarstwa, które uważa, że oto przez podbój Abisynji zagrożona będzie droga do Indyj...

Tak w krótkim rzucie przedstawia się rzeczywistość abisyńska, budząca grozę u każdego, kto się z nią zetknie. Kto w innem świetle przedstawia Abisynję dopuszcza się świadomego fałszu. A ze świadomym fałszem niema dyskusji.

VIII.

Pewnego dnia w Asmarze, w biurze prasowym, będącem naszym dziennikarskim centrum, pojawiła się nowa twarz. Pojawienie się każdej nowej twarzy wywoływało zawsze prawdziwą sensację. Zaczęliśmy dopytywać, kto zacz?... Okazało się, że dziennikarz czechosłowacki.

— Z Pragi?...

— Nie. Z Addis Abeby.

I istotnie z Addis Abeby. Pan Karol Reżny, specjalny wysłannik dwu dzienników czechosłowackich „Narodni Listy“ i „Poledni List“ spędził trzy miesiące w Addis Abebie, rozmawiał z negusem i obecnie — w drodze powrotnej do Europy — zawadził o Asmarę, by zobaczyć, co tutaj słychać.

Człowiek, który przybywa wprost z Dżibuti, który jeszcze niewiele dni temu był w Addis Abebie — to cenny informator, przynoszący z pierwszej ręki najnowsze wiadomości.

Zasypujemy go gradem pytań. Jakże więc wygląda sytuacja „po drugiej stronie“? Co dzieje się w Addis Abebie?

— Położenie negusa Haile Sellassie jest od początku wojny bardzo trudne i nawet tragiczne — opowiada gość z Addis Abeby. — Negus zdaje sobie doskonale sprawę z tragizmu swego położenia i nawet daje temu wyraz w wywiadach dziennikarskich. Nietylko toczy wojnę z przeciwnikiem, silniejszym pod każdym względem, ale musi się stale obawiać gorszych chyba, bo znacznie bliższych wrogów wewnętrznych. Niema właściwie w Abisynji ani takiego rasa, ani też takiego dedziaka, którego nie możnaby kupić. Każdy przytem notabl abisyński uważa się za pretendenta do tronu Etjopji, każdy marzy o koronie „króla królów“ i o wydarciu władzy Haile Sellassiemu. Takich pretendentów istnieje w tej chwili w Abisynji conajmniej czterestu.

Abisynja jest niewątpliwie stale zagrożona powstaniem w prowincji Harrar, gdzie muzułmańska ludność od dziesiątków lat darzy niezmienną nienawiścią koptyjskich najeźdźców i czeka tylko sposobnego momentu, by podnieść żagiew buntu.

Armja negusa przedstawia się opłakanie. Nowoczesnym, dobrze uzbrojonym i wyćwiczonym żołnierzem jest właściwie owe 16 tysięcy, stanowiące przyboczną gwardję negusa, ale negus nie może być pewien nawet i tych 16 tysięcy karabinów i nie wie, czy tego lub innego dnia, nie obróćą się one przeciwko niemu. Pozatem żołnierz abisyński, nawet jako tako uzbrojony, przedstawia element niemający pojęcia o dyscyplinie, niemający też pojęcia o taktyce i nieobznajomiony z nowoczesnymi metodami walki. Sytuację ratuje jedynie wrodzona Abisyńczykom bitność. O tem, by negus mógł wystawić miljonową, czy nawet półmiljonową armję — nigdy nie może być mowy. W najlepszym razie byłaby to zbieranina półdzikich wojowników, nie-

sfora i niezdolna do jakiegokolwiek oporu wobec kolorowych, czy białych wojsk włoskich.

Armja negusa cierpi na chroniczny brak środków żywności i amunicji. Niema naturalnie mowy o jakiegokolwiek celowej organizacji transportów i trenów. To też wojska negusa prowadzą przeważnie koczowniczy żywot, a wobec zupełnie niedostatecznej aprowizacji, poszczególne bandy rabują i ogładzają własny kraj. Dochodzi przytem nieraz do ostrych walk z ludnością pozbawianą swego mienia bez żadnej rekompensaty i nawet bez żadnej nadziei rekompensaty. Zdarzają się też wypadki, że żołnierze negusa poprostu uprawiają żebractwo.

W metodach walki uciekają się Abisyńczycy do dziecinnych czasem sposobów. Jest naprzykład zupełną prawdą to, co wielokrotnie stwierdzają komunikaty włoskie i lotnicy włoscy, że znaki Czerwonego Krzyża są umieszczane na wielu budynkach, niemających nic wspólnego ze służbą samarytańską.

W stolicy Abisynji sroży się drożyzna. Brak wielu środków żywności, albo też można je nabyć tylko za wygórowaną sumę. W hotelach — jest ich kilka w Addis Abebie — płaci się za pokój z utrzymaniem przeciętnie 9 talarów dziennie, ale jedzenie jest takie, że trzeba przeważnie z niego rezygnować i dożywiać się własnym przemysłem, dokupując sobie konserwy i owoce.

Szczególnie droga wobec wysokich cen benzyny jest komunikacja samochodowa. I tak naprzykład za ośmiokilometrowy kurs, od dworca do poselstwa francuskiego, płaci się dwanaście talarów. Należy tu dodać, że talary Marji Teresy — będące, jak wiadomo, jedynym obiegowym środkiem w Abisynji — można nabyć w Dżibuti po cztery franki pięćdziesiąt centymów, a w Addis Abebie po pięć franków pięćdziesiąt. Obok talarów srebrnych istnieją również talary papierowe, ale tych nie chce brać nikt z tubylców, znających jedynie wartość srebra. Owych papierowych talarów może każdy wywieść z Abisynji ile tylko sobie życzy, srebrnych natomiast tylko pięć. I w Abisynji egzystują więc poniekąd tak modne dziś ograniczenia dewizowe.

W Addis Abebie istnieje paniczny lęk przed atakiem lotniczym włoskich samolotów. Wieczór tonie miasto w zupełnym mroku, jest też ściśle przestrzegany rozkaz zasłaniania okien.

Co do osoby zdetronizowanego cesarza Abisynji — Lidżasasu — to w kraju, szczególnie wśród ludności muzułmańskiej,

panuje przekonanie, że został on otruty z rozkazu negusa. Oficjalnie doniesiono o zgonie więźnia w złotych kajdanach w dniu 25 listopada 1935 roku, a 27 listopada negus opuścił uroczyscie Addis Abebę, udając się na front. To zestawienie dat jest bardzo charakterystyczne. Negus obawiał się, by Lidż-Jassu nie stał się narzędziem bądź w ręku muzułmanów, bądź sił zewnętrznych, — opuszczając stolicę bał się, by nie uwolniono więzionego pretendenta i dlatego wołał go usunąć. Zresztą w owym fakcie otrucia niema nic dziwnego, jest to w Abisynji normalny sposób usuwania niewygodnych.

Białych instruktorów wojskowych i doradców negusa jest na terenie Abisynji około dwudziestu. Wysiłki ich nad stworzeniem z Abisyńczyków regularnej armji dają jednak minimalne rezultaty wobec szczupłych środków uzbrojenia i niskiej inteligencji wojowników.

Należy wreszcie wspomnieć, że negus Haile Sellassie znajduje się w zupełności w rękach agentów tych europejskich potęg, które go popierają. Gdyby stał się niewygodny owym potęgom, obalenie go drogą rewolucji pałacowej i zastąpienie przez jednego z rasów, pretendujących do tronu, mogłoby być kwestją kilku dni.

Tak wyglądają w krótkich słowach relacje świadka, który był i który widział.

IX.

Dzienniki z Europy docierają do Asmary ze znacznem opóźnieniem. Niektóre z nich dla korespondentów wojennych, bawiących na froncie erytrejskim, stanowiły z tej przyczyny ciekawą lekturę, że pozwoliły orjentować się, jak fałszywe są często informacje, dotyczące rozwoju sytuacji strategicznej, jak dalece nieprawdziwe wiadomości przedostają się z różnorodnych źródeł na łamy prasy światowej. Komunikaty nadawane przez Addis Abebę, skwapliwie podchwytywane przez wrogie Włochom organy, mają pod tym względem wyrobioną już opinię.

Czego to nie spotykało się w każdej porcji nadeszłych gazet! A więc wiadomości o opuszczeniu Macalle przez Włochów, w czasie, kiedy się o tem ani nie śniło. A więc wiadomości o przełamaniu somalijskiego frontu, o zwycięskim pochodzie rasa Desta-Dantu, który jakoby miał zagrażać armji generała Grazianiego odcięciem od pięknego Mogadiscio, stolicy włoskiej Somalji.

Mało brakowało, abyśmy dowiedzieli się o zajęciu tego miasta, byśmy przeczytali o tem, jak to Abisyńczycy, podobni ksenofontowym Grekom, powitali okrzykami „Morze! Morze!” kołyszające się leniwie fale Oceanu Indyjskiego.

Miarą fałszywych wiadomości, tak często i tak bezkrytycznie wykorzystywanych, jest fakt, że w dniu, kiedy bawilem w Axum, dzienniki angielskie opublikowały telegram, donoszący o odzyskaniu tego miasta przez armję negusa, odzyskaniu, które zresztą mogło być tylko mrzonką i nic więcej.

Jakże wygląda stan faktyczny? Jak kształtują się możliwości obu stron?

Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę, że każda wojna kolonialna ma swoje odrębne cechy, odrębne właściwości, zależne od miejscowych warunków terenowych. Ma też swoje właściwości i wojna włosko-abisyńska, inne na pustynnym froncie somalijskim, inne na górzystym terenie północnym. Nie należy też pojmować, jakoby to była wojna ciągłego frontu — o nieprzerwanej linii okopów. Tak nie jest. Jest to ze strony włoskiej walka ugrupowań, posuwających się naprzód, rozbijających abisyńskie, przeważnie partyzanckie oddziały i oczyszczających stopniowo teren. Ten charakter działań wojennych sprawia, że na północnym froncie włosko-abisyńskim zdarzają się dość częste wypadki wzajemnego przenikania się wrogich oddziałów, co jest rzeczą zupełnie naturalną wobec niezliczonej ilości wąwozów i przesmyków, któremi pokrajane są łańcuchy górskie Afryki Wschodniej.

Do dużych bitew doszło na froncie północnym dopiero w ostatnich czasach pod Amba Aradam i Amba Alagi, poza owymi większemi bitwami rozgrywają się na froncie północnym nieustanne utarczki, mniejsze lub większe i mniej lub więcej krwawe.

Błędem, stale popełnianym, jest traktowanie Włochów i Abisyńczyków jako przeciwników równorzędnych i równowartościowych, lub przeciwstawianie abisyńskiej liczby — włoskiej technice, jakgdyby stosunki te równoważyły się. Dziś już nikt chyba nie będzie się upierał przy owym błędzie, a spotykane poprzednio twierdzenie, że Abisynja może wystawić milion żołnierza należy policzyć do legend. Można by raczej powiedzieć, że Abisynja mogłaby wystawić milion wojowników, ale i ta cyfra pozostaje w sferze teorii, a stan faktyczny wygląda zu-

pełnie inaczej. Ani jest to możliwe, ani też nie byłoby czem uzbroić owego żołnierza, nie byłoby czasu wyćwiczyć go, a przys tem wewnętrzne rozbicie Abisynji, nigdy niezamierające tarcia i ambicje rasów, nigdy niezamierające antagonizmy plemienne, czynią niemożliwą tego rodzaju mobilizację. Przewaga bojowa armji włoskiej, armji wyposażonej w czołgi i wspaniałą broń lotniczą jest tego rodzaju, że los każdej bitwy jest zgóry przesądzony na korzyść Włoch.

A więc nie żołnierz abisyński jest groźnym przeciwnikiem Włoch na froncie erytrejskim. Jest nim teren górzysty i skalisty, pnący się na tysiące metrów ponad poziom morza, teren pełen wąwozów, kotlin i przełęczy. Teren ten powoduje duże trudności. Jedną z nich jest możliwość zasadzek i dokuczliwej walki partyzanckiej, drugą — organizacja transportów i trenów.

Gdy chodzi o walkę partyzancką, fachowcy włoscy twierdzą, że Abisyńczycy poruszają się wprawdzie lepiej w wysoko-górskich terenach, szalenie uciążliwych dla białego żołnierza z powodu rozrzedzonego powietrza, jednakże psychika żołnierza abisyńskiego jest typową psychiką ludzi pierwotnych. Abisyńczycy dobrze strzelają, są urodzonymi wojownikami, uważają, że wojaczka jest jedynem zajęciem godnem męża, natomiast zniechęcają się łatwo i łatwo wpadają w panikę, są mało wytrwali i dalecy od umiejętności nowoczesnej taktyki. Biali doradcy negusa daremnie naprzykład mozołą się, by nauczyć abisyńskich wojowników sztuki atakowania tyraljerą. Prymi tywnej psychice żołnierza abisyńskiego zupełnie nie odpowiada ten sposób walki, idąc w tyraljerze czuje się on osamotniony i poprostu — boi się. Woli atakować masą, a wiadomo, że tego rodzaju ataki na gniazda karabinków maszynowych muszą wydawać oplakane rezultaty. Gdy raz w szeregach abisyńskich wybuchnie panika, wówczas szerzy się ona jak płomień i owi przed chwilą dobrze bijący się ludzie upadają na duchu i w popłochu rzucają się do ucieczki.

Olbrzymia armja włoska nie mogłaby operować w Afryce Wschodniej ani przez jeden dzień bez właściwej organizacji transportów i trenów. Pomyślnie rozwiązanie tego zagadnienia było równoznaczne z powodzeniem, złe rozstrzygnięcie — z klęską. Był to najtrudniejszy egzamin, jaki przyszło zdawać fascystowskiej Italji i przyznać trzeba, że egzamin ten został zdany znakomicie. Od pierwszej chwili działań wojennych kwestja

organizacji dowozu jest główną troską włoskiego dowództwa. Organizacja transportów sprawia, że oddziały włoskie nie są nigdy pozbawione ani wody, ani jedzenia, ani też amunicji. Żołnierz włoski, walczący w Afryce, wśród gór i pustyń, wśród ciężkich klimatycznych warunków, jest pod tym względem otoczony najskrupulatniejszą opieką. Jeżeli chodzi o zagadnienia aprowizacyjne, to żołnierz włoski nawet w pierwszych liniach, nawet na najbardziej wysuniętych posterunkach jada chyba lepiej w Afryce Wschodniej, niż we Włoszech. Tam, gdzie tylko można, nawet do pierwszych linii, dopędza się bydło, by żołnierz tylko w razie ostateczności żywił się konserwami i miał jaknajczęściej świeże mięso. Obiady żołnierskie są urozmaicone, obfitują w owoce, a każdy żołnierz obowiązany jest do spożycia dziennie soku z jednej cytryny, co sprawia, że od początku działań wojennych nie było w armii włoskiej ani jednego wypadku skorbutu.

Włosi zwyciężają w Afryce organizacją. Posuwają się powoli wgłąb kraju, bo organizacja zaplecza, wymaga budowy dróg, a dobre drogie nie czekały Włochów w Afryce, jedynie nędzne karawanowe szlaki. O drogach owych będzie jeszcze mowa w tej książce. Budowane tuż za liniami frontu, niemal w ogniu walk, potyczek i utarczek, wyrastają owe drogi tam, gdzie dotąd nie było ich ani śladu, lub gdzie biegły tylko nędzne karawanowe szlaki, niedostępne dla samochodów. Budowa ich w tych warunkach to istny cud nowoczesnej techniki, który z trudną do uwierzenia szybkością zmienia skalne opoki i afrykańskie bezdroża w szosy, trudne wprowadzić i karkołomne, ale dostępne dla kolumn samochodów ciężarowych.

Włoski żołnierz może iść naprzód spokojny, że nie będzie odcięty od swego zaplecza, — wie on, że w ciągu kilku lub kilkunastu godzin po kamienistym terenie górskim, lub przez wykarczowany gąszcz tropiku przejedzie pierwszy w tych stronach, — jak Afryka Afryką — samochód, wiozący żywność i wodę.

Pamiętają Włosi również i o tem, że zbliża się nowa pora deszczowa, która może popodmywać i poniszczyć z takim mozołem budowane drogi i nadwyreżić nienagannie dotąd działający mechanizm zaopatrzenia. Wszystkie ważne militarnie szlaki komunikacyjne są pośpiesznie umacniane i do czasu rozpoczęcia się pory deszczowej będą całkowicie pokryte asfaltem.

Tak wyglądają fakty. Tak przedstawiają się szanse obu stron. Przyznać trzeba, że los dość równomiernie rozłożył błaski i cienie tej wojny. Abisyńczycy z powodu braku nowoczesnej armii, z powodu braku dyscypliny i środków technicznych nie mogą marzyć o sprostaniu wojskom włoskim, a te znowu muszą zwalczać bastjony górskie, które dla obrony „Lwa Judy” i jego poddanych — zda się — zbudowała natura.

W XX-tym wieku zwycięża jednak organizacja i technika i dlatego nie należy mieć wątpliwości co do ostatecznych losów tej kolonialnej wojny.

X.

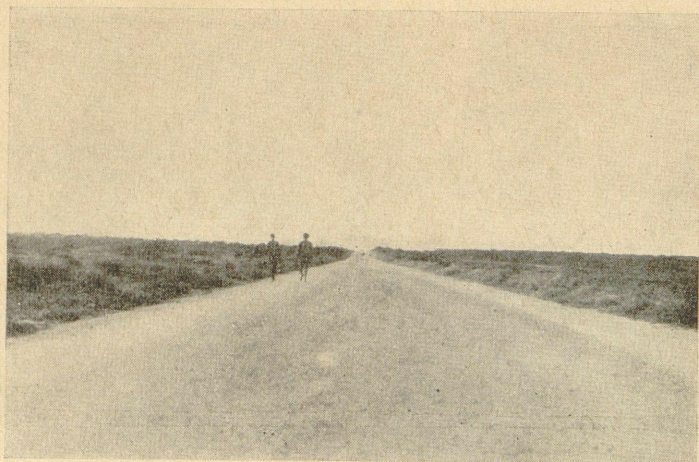
Armja włoska w Afryce Wschodniej składa się z trzech trzonów. Z armji regularnej, z dywizyj „Czarnych Koszul” i z tubylczych wojsk kolonialnych.

Faszyzm podjął śmiałą ideę przebudowy ducha włoskiego we wszystkich dziedzinach życia. Może to zresztą określenie fałszywe, może to tylko genialna umiejętność Mussoliniego rozbudziła we wszystkich warstwach narodu i społeczeństwa włoskiego te siły twórcze, które drzemały i czekały długie lata, aby dojść do głosu. Jeżeli mówi się o armji włoskiej, to trzeba stwierdzić, że faszyzm i ją przebudował również gruntownie.

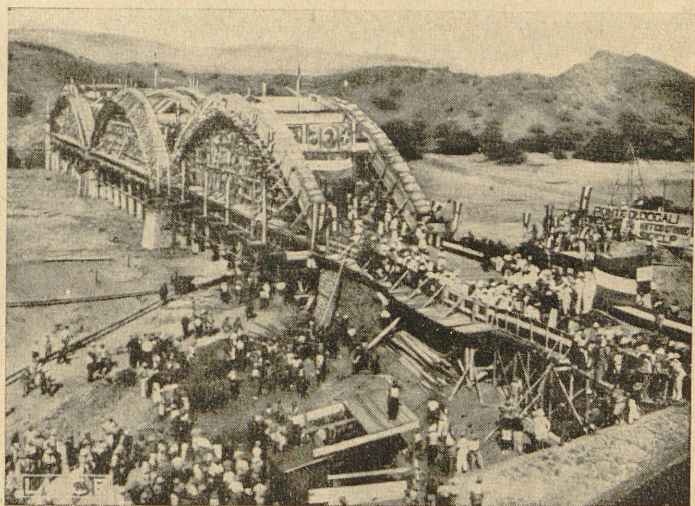
Powiedzmy krótko — nie można jej nawet porównywać z armją włoską z okresu wojny światowej. Jest to dziś jedna z najlepszych armij świata. Jest doskonale wyćwiczona, znakomicie wyposażona technicznie, a nadewszystko ożywiona wspólnym duchem niewygasającego entuzjazmu i zapału, tego entuzjazmu, bez którego niema zwycięstwa.

W armji włoskiej z dyscypliną łączy się głębokie uświadczenie patriotyczne, z uświadczeniem patriotycznym duma narodowa i silne poczucie obowiązku. Te trzy wartości są bezspornym dziełem faszyzmu.

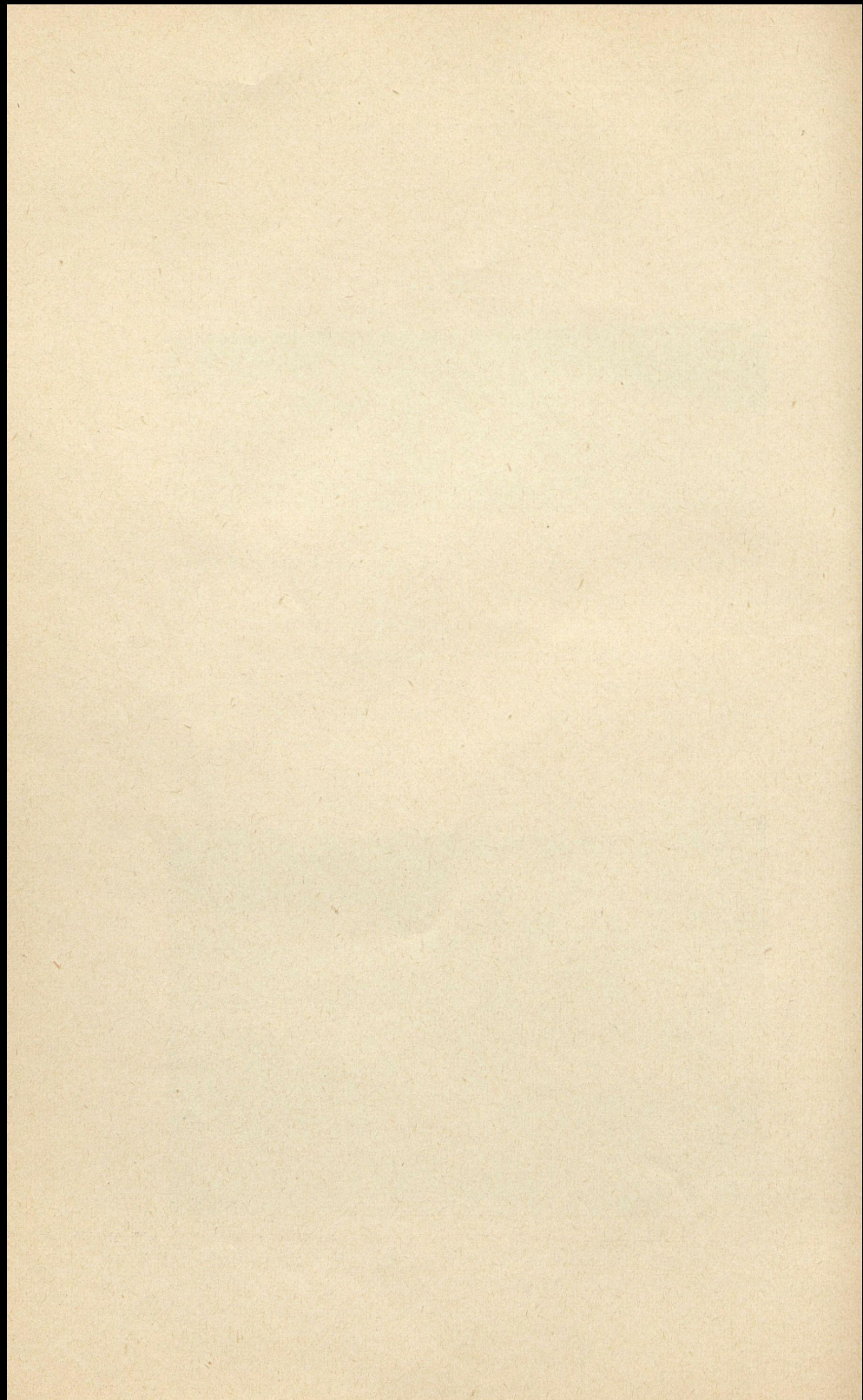
Należy tu jednak zrobić nieodzowne zastrzeżenie. Dyscyplina w armji włoskiej nie ma nic wspólnego z bezdusznym militarystycznym „drillem”. Zarówno w czasie podróży z transportem wojska na pokładzie „Colombo”, jak i na linjach frontu miałem sposobność obserwować stosunek oficera do żołnierza i żołnierza do oficera. Poza karnością wojskową jest to stosunek obywatela do obywatela, stosunek przełożonego i podwładnego, których łączą wspólne ideały.



Asfaltowana szosa na terenach okupowanych



Budowa mostu w Afryce Wschodniej



W czasie walk na froncie abisyńskim żołnierz włoski zado-
kumentował w całej pełni swą nową wartość bojową. Złożył on
niejednokrotnie dowody olbrzymiego bohaterstwa, a przytem
trzeba pamiętać, że walczy on daleko od ojczysteg okraju, trzeba
pamiętać, iż żołnierz włoski wie, że ma do czynienia z wro-
giem, który nie zna litości, że gdy zostanie ranny na polu walki,
lub wzięty do niewoli, spotkają go tylko akty okrucieństwa,
przed jakimi myśl ludzka cofa się ze wstrętem i odrazą.

Obok armji regularnej walczą w Afryce dywizje „Czarnych
Koszul“. Dywizje te powstały z ochotników milicji faszystow-
skiej. Jest to z pewnością żołnierz mniej wyćwiczony fachowo—
już chociażby dlatego, że nie miał na to czasu — jednakże oży-
wiony tak fanatycznym zapalem, że zapal ten wyrównywa nie-
mal braki fachowości. Są w owych faszystowskich dywiz-
jach ludzie wszelkiego wieku i wszelkich zawodów. Są w tych
szeregach emigranci włoscy ze Stanów Zjednoczonych, z Brazy-
lii i z Argentyny, którzy raz jeszcze pośpieszyli na zew ojczyzny.

Widziałem w dywizjach „Czarnych Koszul“ pięćdziesięcio-
letnich mężczyzn, których włosy przyprószyła siwizna, którzy
porzucili swe zajęcia, biura i warsztaty pracy, którzy bez waha-
nia pożegnali rodziny na długie miesiące, a może nazawsze. Obok
nich spotkałem kilku młodych, dorastających chłopców — nie-
mal dzieci. To sieroty — członkowie „Balilli“. Za specjalnem
zezwoleńiem Mussoliniego, znoszą trudy afrykańskiej kampanji,
budząc podziw swym młodocianym hartem i żarliwym patryo-
tyzmem.

Wśród dywizyj „Czarnych Koszul“ panuje głęboka wia-
ra i przeświadczenie, że niosą one cywilizację w kraj dziki, pe-
łen okrutnych przesądów, potwornych praktyk i zabobonów.
Jest w owych oddziałach coś, co przywodzi na myśl ducha rzym-
skich legjonów. Pomiędzy „Czarnymi Koszulami“, a regularną
armją istnieje braterstwo broni, a zarazem szlachetna rywalizacja
w poświęceniu i w męstwie.

Kolonjalne bataljony tubylców dopełniają liczby formacyj
włoskich, działających w Afryce Wschodniej.

Jeszcze w przededniu wybuchu wojny, można się było
spotkać z przekonaniem, że Włosi w minimalnym tylko stopniu
będą mogli liczyć na wierność swej kolonjalnej armji.

Według owych opinij instynkt rasy miał szybko zwyczężyć w kolorowych wojskach włoskich i przewidywano masowe przechodzenie wyćwiczzonego i uzbrojonego czarnego żołnierza na stronę abisyńskich „współbraci“.

Snuć takie horoskopy można było tylko nie znając psychiki włoskiego „ascaro“ i nie orjentując się, że względy solidarności rasowej nie mogą u owych ludzi odegrać żadnej absolutnie roli. Z czystym sumieniem można też stwierdzić, że od początku kampanji do chwili owej nie zanotowano ani jednego wypadku zdrady i przejścia oddziału wojsk kolorowych na stronę abisyńską.

Kolorowa armja włoska w Erytrei jest istotnie armją wyborową, znakomicie wyćwiconą i zdyscyplinowaną. Erytrejski „ascaro“ jest urodzonym żołnierzem i podobnie, jak Abisyńczyk, uważa, że rzemiosło wojownika jest jedynem zajęciem, godnem prawdziwego mężczyzny.

Każdy tubylec marzy o posiadaniu karabinu, dla każdego z nich wojna jest żywiołem, w którym czuje się, jak ryba w wodzie. Wytrwały i zadowolający się byle czem, jest Erytrejczyk — czy to kopt, czy muzułmanin, czy też poganin — doskonałym materiałem na żołnierza i te jego wrodzone cechy zostały przez Włochów w całej pełni wyzyskane.

Armja kolorowa w Erytrei składa się z bataljonów, z których każdy liczy około tysiąca ludzi. Bataljony te dowodzone są przez białych oficerów. Oznakę każdego bataljonu tworzy kolor szerokiego pasa w zestawieniu z barwnym chwastem na fezie.

Erytrejscy askari to piękne i barwne wojsko. Wojsko to pozatem doskonale płatne. Prosty żołnierz otrzymuje poza wyżywieniem pięć lirów dziennie, żołd ten u podoficerów rośnie progresywnie aż do dziesięciu lirów. Trzeba znać stosunki panujące w Afryce Wschodniej, by wiedzieć, że dla każdego tubylca suma ta jest poprostu majątkiem.

Ale nie koniec na tem.

Zakorzeniony był zwyczaj, że wślad za askari szły ich rodziny — towarzyszące wojownikom i żywiące się wraz z nimi. Był to naturalnie zwyczaj szalenie niedogodny, to też administracja włoska położyła temu kres w sposób niezmiernie prosty. By rodziny nie wlokły się za oddziałami, by wreszcie czarny żołnierz był spokojny, że podczas jego nieobecności głód nie zajrzy do

jego chaty, czy tukulu — władze włoskie wprowadziły rodzaj deputatów żywnościowych dla rodzin askarich, zakazując równocześnie włóczenia się za oddziałami czarnym żonom i przyjaciółkom.

Nie można się dziwić, że w tych warunkach zaciągnięcie się w szeregi kolorowych wojsk włoskich jest marzeniem każdego tubylcy w Erytrei inie w Erytrei. Włoscy żołnierze kolonjalni mają opinię „szczęśliwców“. Gdy w Afryce Wschodniej rozeszły się wiadomości o bliskiej wojnie, z francuskiej Somali przekradali się masowo tubylcy do Erytrei, by zgłaszać się do szeregów czarnych bataljonów erytrejskich.

Sedno wierności włoskiego „ascaro“ — obok rasowego indyferentyzmu — leży w dobrej płacy i w wysokiej dbałości o czarnego żołnierza. Poza pewną dawką prymitywnej uczciwości tubylczy żołnierz włoski wie doskonale, że nigdzie nie będzie lepiej — ani jemu, ani jego rodzinie. Wie też z pewnością, że „po drugiej stronie“, gdzie żołnierze negusa żyją niejednokrotnie z żebraniny — na lepsze warunki liczyć nie może.

A przytem — kochając się w broni — posiada wspaniały karabin, posiada barwny, malowniczy mundur. Z natury ambitny, marzy o odznaczeniu się, o zdobyciu podoficerskich naszywek. Czuje się niejako wyższą istotą — z całą pewnością wyższą od obdartych wojowników abisyńskich. Jest oczkiem w głowie administracji kolonjalnej, która dba o wszystkie jego potrzeby i nawet w każdym oddziale znajduje się trzech kucharzy, z których jeden sporządza jedzenie dla wyznawców kościoła koptyjskiego, drugi rytualne jedzenie dla muzułmanów, trzeci wreszcie — dla pogan. Czarny żołnierz wywdzięcza się Italji za tę opiekę. Biję się doskonale i raz po raz składa dowody swej wierności.

Obok askarich w Erytrei istnieją tak zwane „bandy“. „Bandami“ nazywa się lotne, działające samodzielnie oddziały tubylcze. Każdy taki oddział składa się z około pięciuset ludzi i dowodzi nim trzech włoskich oficerów. Tubylcy w „bandach“ uzbrojeni są w karabiny i noszą turbany zamiast fezów.

Oddziały te, zdolne do szybkiego przerzucania się z miejsca na miejsce, słynne są również ze swej bitności.

XI.

Deszcz rzadko kiedy zagląda do Asmary, a kiedy już zagląda, to jest to deszcz szczególnego rodzaju. Przeważnie w nocy, gdy temperatura, wynosząca około 30 stopni w południowych godzinach — obniża się do czterech zaledwie stopni ciepła — spadają na miasto chmury i otaczają je gęstym woalem. Cała Asmara tonie w owych chmurach i wówczas pada obficie mgła, wdzierając się wszędzie swą natrętną wilgocią. Owa mgła utrzymuje się często również i podczas wczesnych rannych godzin, dopóki nie rozproszą jej promienie afrykańskiego słońca.

W taki to właśnie mglisty poranek — sprawiający, iż w przeciągu kilku minut nasze płaszcze i ubrania przesiąknięte zostały wilgocią — cztery samochody z dziennikarzami zagranicznymi wyruszyły z Asmary do Aduy i Axum, oraz do pierwszych linii i posterunków włoskich.

Z Asmary do Aduy jest porządny kawał drogi. Niemniej, jak sześć godzin jazdy samochodem po drogach przeważnie bardzo świeżej daty. Kierujemy się asfaltowaną, doskonałą szosą na Adi Ugri i Adi Quala — w kierunku rzeki Mareb, za którą rozpoczyna się już abisyńska ziemia.

Granicą pomiędzy Erytreą, a Abisynją była przed rozpoczęciem działań militarnych właśnie owa rzeka Mareb — była to jednak raczej naturalna, geograficzna granica — politycznie i faktycznie posterunki włoskie sięgały niedaleko poza Adi Quala. Dalej była jakgdyby ziemia niczyja....

Tu też — zaraz za Adi Quala — urywał się szeroki, wygodny gościniec i zaczynały się afrykańskie bezdroża, przez które biegły tylko karawanowe ścieżki dobre dla wielbłądów, ale nie dla samochodów. Przed rozpoczęciem działań wojennych — Włosi musieli pomyśleć o tem, by wyrąbać w górach, piętrzących się tutaj wysokimi szczytami — drogę, umożliwiającą zarówno transport wojsk, jak i przewóz zaopatrzenia oddziałów. W tej dziedzinie są Włosi istotnymi mistrzami, to też w przeciągu jednego miesiąca powstała szosa o długości osiemdziesięciu kilometrów, wiodąca z Adi Quala aż po brzegi Marebu.

Dziwna to droga. Z wysokości ponad dwu tysięcy metrów opada ona wdół — ku dolinie Marebu, leżącej w tropiku. Wije się owa szosa wśród gór, łamiąc się w nieustanne serpenty. Niezliczone wiraże mają często ostrość 180 stopni, tak,

że maszynę trzeba poprostu obracać w miejscu. Po jednej stronie drogi leżą przepaście o wielkich często głębokościach, po drugiej wyrastają skały nieustannie zasłaniające szoferowi pole widzenia.

Na szosie wre jeszcze praca nad umocnieniem jej i zabezpieczeniem przed skutkami nadchodzącej pory deszczowej. Naszą autokolumnę — w czasie jazdy — zatrzymuje kilkakrotnie robotnik sygnałem czerwonej chorągiewki. Musimy poczekać. O kilkadziesiąt metrów przed nami robotnicy wysadzają dynamitem skalistą opokę, by poszerzyć drogę. Kilka wybuchów wstrząsa powietrzem, poczem dają nam nowy sygnał. Możemy jechać dalej. Jedziemy i w miarę jak schodzimy wdół — upał staje się coraz większy — coraz bardziej zbliżony do tego, który znamy już dobrze z Massauy. Roślinność górska znika coraz bardziej, ustępując miejsca typowemu afrykańskiemu buszowi.

Po czterech godzinach jazdy stajemy wreszcie nad rzeką Mareb. O tej porze roku jest to wyschłe koryto dużej rzeki, która istnieje tylko w deszczowym okresie. Rzeką Mareb toczyła jednak swe wody owego wieczoru, poprzedzającego wejście oddziałów włoskich na teren Abisynji, — kiedy to saperzy w przeciągu 50 minut przerzucili drewniany most przez jej koryto. Mostem owym — w niewiele godzin potem — przeszły pierwsze patrole. Wojska poszły naprzód, — na drugi brzeg — a wślad za nimi poszli saperzy, by budować drogę dla transportów, poszły oddziały techniczne, by rozpinać w dziewiczym terenie linie telegraficzne i telefoniczne.

Drewniany most na rzece Mareb istnieje dotąd, ale o kilkanaście metrów od niego — dniem i nocą — budują Włosi inny most — most żelazny, którego nie powstydzilyby się europejskie rzeki. Zanim nastanie pora deszczowa ów most będzie gotów.

Ruszamy dalej. Niedługo samochody zaczynają znowu pięć się wgórę. Adua leży na wysokości niewiele mniejszej od wysokości Asmary. Naraz auta zatrzymują się ponownie. Towarzyszący nam oficerowie włoscy wyskakują z wozu.

Na obłemu wzgórzu górskiem, pokrytem rzadką roślinnością, wznosi się murowany, ocementowany grób, zarzucony pękami zeschłych już dziś spalonych słońcem kwiatów. To grób pierwszego białego, który poległ w obecnej wojnie.

Wspinamy się na górskie zbocze. Stajemy u owego grobu. Odkrywamy głowy. Włoscy oficerowie z widocznym wzruszeniem długo salutują grób, wpatrzeni w napis na płycie. Napis krótki — jakże wymowny:

— „Porucznik Morgantini — Pierwszy Poległy w dniu 3 października 1935“....

Porucznik Morgantini — 27-letni młody oficer — był jednym z Włochów, dowodzących tubylczą „bandą“ erytrejską. W pierwszym dniu wojny poległ podczas zdobywania umocnień abisyńskich pod Daro Tacle. Grób jego samotny, zagubiony w czeluściach Czarnego Łądu, dziwnie żaloszny na tle afrykańskiego krajobrazu, sprawia niezatarte wrażenie.

Opodal grobu, na wzgórzu, na niewdzięcznej, ubogiej w wilgoć ziemi, plenią się jakieś nikle, anemiczne kwiaty. Kwiaty, których imienia nikt z nas nie zna. Jeden z oficerów włoskich zrywa ich kilka — wraca i w milczeniu składa na mogile. „Povero Morgantini“ — szepce inny.

Oficerowie prostują się raz jeszcze. Jeszcze raz dotykają palcami kolonialnych hełmów, poczem schodzą powoli ze wzgórz.

Idziemy za nimi w milczeniu — przejęci i wzruszeni. Gdy samochody ruszają — rzucamy jeszcze jedno spojrzenie na grób, pławiący się w promieniach ukośnie już stojącego słońca.

— Żegnaj, poruczniku Morgantini. Byłeś młody, byłeś dzielny, złożyłeś ofiarę ze swojej krwi i ze swego życia. Dla tamtych — z Genewy — jesteś tylko jednym z „napastników“, ale jesteś bohaterem, jak bohaterem jest każdy kto taką ceną przypieczętował miłość ojczyzny i te idee, które ją wiodą ku wielkości....

— — — — —

O zmroku stajemy w Adui.

Samochód ciężarowy, który wyruszył na szereg godzin przed nami, przywiózł już nasze namioty i łóżka polowe. Rozbijamy nasz dziennikarski obóz na placu tenisowym dawnego włoskiego konsulatu w Adui. W gmachu tego konsulatu mieszcą się teraz dowództwo włoskiego korpusu.

Adua!... Od początku konfliktu nazwa ta niezliczone ilości razy przewinęła się przez wszystkie dzienniki świata. Pod Aduą w 1896 roku poniosły oddziały włoskie klęskę, zadaną im przez przeważające siły Menelika II-go. Zajęcie Aduy miało

obecnie tę klęskę zmazać. To był — obok ekspansji kolonialnej — jeden z celów toczącej się wojny. Wszakże pierwszą rzeczą, jakiej dokonali Włosi po zajęciu Aduy, było postawienie pomnika ku czci poległych w 1896 roku.

Nie wiem, jak tam kto sobie wyobraża Aduę. Dla mnie była ona rozczarowaniem. Takim samem rozczarowaniem byłaby z pewnością dla każdego. Owo „miasto“, które było na ustach całego świata — to poprostu duża wieś abisyńska — typowa wieś czarnych — o niezliczonej ilości tukulów, o małych brudnych uliczkach bez nazw — wieś zamieszkała przez równie brudnych, półdzikich obdartusów.

Jakże to było z tą Aduą? Jakże to było z temi opisami całkowitego zniszczenia „miasta“ — z opisami o walce wręcz, jaka toczyła się o każdy dom, o każdą uliczkę? Według tych wstrząsających relacyj Adua powinna dziś być kupą gruzów, nad którą powiewają włoskie sztandary.

Efekt tych opisów mógłby być niewątpliwie mocny... gdyby to wszystko było prawdą. Ale prawda jest inna. Odparciu oskrzydłającym manewrem wojsk włoskich, Abisyńczycy wycofali się z Aduy, a do wkraczających oddziałów włoskich nie padł ani jeden strzał ze strony mieszkańców. Nie było ulicznych walk, nie płonęły tukule, nie walczono o każdy kamień.

Zwiedzałem dokładnie Aduę. Włóczyłem się po jej smrodliwych, ohydnych, nad wyraz brudnych uliczkach i stwierdzam — ani jeden tukul nie jest zniszczony i nie był zniszczony.

Najokazalszym budynkiem Aduy jest gmach włoskiego konsulatu. Jest to jedyny tutaj prawdziwie europejski, piętrowy gmach, bo nie możemy tak określić „ghebi“ (pałacu) rasa Sejum.

„Ghebi“ to, rzucone na wzgórzu — panuje nad Aduą. Pałac rasa urządzony jest niezmiernie prymitywnie, a istnieje w nim nie mniejszy brud, niż w chatach zwykłych, abisyńskich śmietników. Wokół „pałacu“ rozrzucone są tukule, w których mieszkała przyboczna gwardja wielkorządcy, a całe wzgórze opasane jest murem z kamieni.

Dziś wiele się zmieniło w „ghebi“ rasa Sejum. Mieści się w niem włoski szpital i szkoła-ochronka dla czarnych dzieci. Abisyńska dzieciarnia wtajemnicza się w zawilóści łacińskiego alfabetu i uczy się włoskich piosenek. Umie już wołać „Niech żyje Italja“. Czarne rączki podnoszą się na nasze powitanie,

a równie czarny nauczyciel, który posiadał tajniki białej wiedzy, informuje nas o postępkach uczniów.

Dużo zmieniło się w opuszczonem „ghebi“ rasa Sejum i tylko w ogrodzie — jak dawniej — kwitną obojętne na wszystko, fioletowe powoje.

XII.

Wśród gór, w cichej kotlinie, jakgdyby odcięte od świata łańcuchami poszarpanych szczytów i turni leży Axum, święte miasto Abisynji — to, z pośród „świętych miast“ świata, o którego istnieniu wielu ludzi dowiedziało się z okazji wojny włosko-abisyńskiej.

Dawniej z Aduy do Axum biegła jedynie karawanowa ścieżka, dziś prowadzi tam dość dobra, ulepszana wciąż jeszcze szosa, długości około trzydziestu kilometrów.

Axum jest świętością dla całej Abisynji i ośrodkiem koptyjskiego kultu, jest dla wyznawcy koptyzmu tem, czem Mekka dla wiernego muzułmanina. To też nic dziwnego, że Abisyńczycy opuścili Axum bez wystrzału, nie chcąc narażać go na zniszczenie, nic dziwnego, że bez wystrzału zajęli go Włosi i to dopiero po kilku dniach — na prośbę koptyjskiego kleru, by wzięto w opiekę opuszczone miasto i zapewniono mu bezpieczeństwo.

Nic dziwnego, że wobec tego szczególnego znaczenia Axum, Włosi doceniają polityczną wartość posiadania go i dlatego postanowili zabezpieczyć miasto i uniezależnić jego losy od dalszej akcji w dorzeczu rzeki Takazze.

Celowi temu służy w pierwszym rzędzie znakomicie położony fort Licanos, który wraz z innemi środkami obronnemi sprawia, że Axum jest dziś dla wojska negusa poprostu nie do zdobycia.

Licanos — to trudno dostępna góra o stożkowatym kształcie, wznosząca się w pobliżu Axum i o 200 metrów wyżej położona od miasta. Górę tę Włosi znakomicie ufortyfikowali. Ze szczytu jej roztacza się przepyszny, niezrównany w swej malowniczości widok — ale nie o malowniczość widoku chodziło Włochom. Licanos z jednej strony panuje w zupełności nad drogą do Aduy — od południa zaś — jak na dłoni — leży fałista, ciągnąca się wdal równina, pozwalająca załodze fortu władać nad całą okolicą.

Pogrzebane już dawno warunki pokojowe, ułożone przez Lavala i Hoare, przewidywały zwrócenie Axum Abisynji. Obronne przygotowanie miasta, a zarazem moralne znaczenie, jakie przywiązują Włosi do posiadania Axum — wskazuje, że warunek ten był dla Italji niemożliwy do przyjęcia.

Po zwiedzeniu fortu Licanos — udajemy się do szpitala polowego i tu oglądamy po raz pierwszy rannych. Zarówno białych, jak i czarnych.

O szpitalu polowym w Axum można to tylko powiedzieć, że byłem jednym z tych dziennikarzy, którzy oglądali w jego namiotach rany, zadane kulami „dum = dum“ i mogą dać świadectwo, iż kule te są istotnie używane po stronie przeciwnej. Oglądałem również owe kule. Są one belgijskiego lub angielskiego pochodzenia. Angielska fabryka broni tłumaczyła się, że kule takie wyrabiane były istotnie dla polowania na grubego zwierza w Afryce. Dziś, przy pomocy tych kul, czarne szczepy polują na białych ludzi. Droga, jaką kule „dum = dum“ dostały się do rąk abisyńskich, dla nikogo zdaje nie pozostawia wątpliwości. To zapewne w tym celu, aby przyspieszyć pokój, pewne czynniki starają się uczynić wojnę jeszcze bardziej okrutną...

Opowiadał nam lekarz włoski, że zdarza się również, iż sami Abisyńczycy preparują owe kule „dum = dum“. Używają starych ołowianych kul austriackich i nagryzają je zębami, czyniąc rowki w ołowiu. To już wystarcza, by pocisk, trafiając, rozprysnął się w ranie i wywołał owe straszne okaleczenia, spowodzające śmierć lub konieczność amputacji tam, gdzie rana od zwykłej kuli uległaby łatwo zagojeniu.

Opuszczamy wreszcie namioty szpitalne i oddychamy z ulgą. Szpital mieści się pod miastem. Wracamy do Axum....

— — — — —

Dziwna jest istotnie atmosfera tego miasta. W głębokiej ciszy i w zadumaniu stoją gęsto tukule, w głębokiej ciszy i zadumie drzemią pomiędzy tukulami uliczki, obwarowane murami z kamienia. Tutaj nic się nie zmieniło od setek lat. Dotąd nic.... Może teraz się zmieni.

Axum — zda się — zapomniało o świecie i świat o niem zapomniiał. Miasto jest niby człowiek w letargu. Zasnęło niemal dwa tysiące lat temu i nie przebudziło się dotąd. Jako ślad jakiejś axumickiej, z pewnością nie koptyjskiej, zaginionej cywilizacji.

lizacji wznoszą się w niem obeliski = monolity, nad których pochodzeniem do dziś dnia łamią sobie głowę uczeni.

Ale pozostawmy uczonych ich troskom. Axum jest świętością Abisynji, a świętością Axum jest kościół Enda Mariam. Właśnie dziś w owej świątyni odbywa się uroczystość religijna.

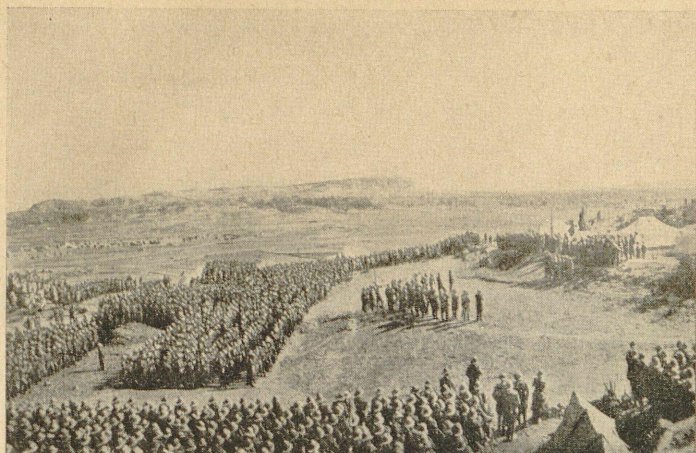
Wchodzimy na teren Enda Mariam przez drewnianą bramę o kilku schodkach, na których siedzą rzędy trędowatych. Owa brama trędowatych przechodzi jakby w niszę, za którą otwiera się ogród. W ogrodzie tym znajduje się kościół Enda Mariam. Również do niego prowadzą szerokie schody.

Wrota kościoła są jednak zamknięte, natomiast oczy nasze uderza dziwny widok. Uroczystość koptyjska już się rozpoczęła. Od schodów kościelnych poprzez mały, porośnięty trawą placyk biegnie długi, barwny chodnik. Po obu jego stronach znajduje się odziany białą kler koptyjski w wysokich zawojach. Na stopniach kościoła stoi kapłan w pontyfikalnych szatach, otoczony asystą. W ręku trzyma szczerozłoty krzyż koptyjski.

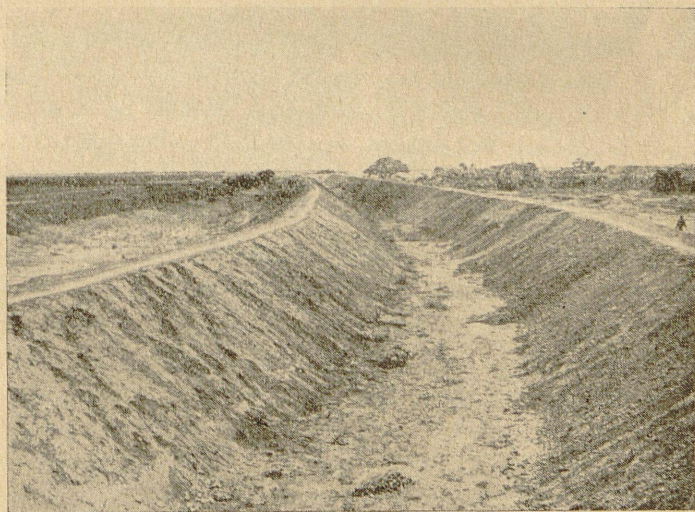
Dwu czarnych kościelnych uderza w duże murzyńskie bębny — w takt żalostnej, tęsknej melodji śpiewanej przez księży koptyjskich. Jakże niesamowite — przykre, a zarazem przykuwające wrażenie. Duchowni koptyjscy, zawodząc pieśń religijną, tańczą — wykonują taniec obrzędowy.

Czy jesteśmy istotnie w chrześcijańskim kościele?... Głuchochy biją murzyńskie bębny. Każdy z koptyjskich księży ma w ręku dziwaczny dzwonek. Są to srebrne widelki, przez które przebiegają dwie poprzeczki. Na poprzeczkach tych umieszczone są srebrne krążki. Duchowni koptyjscy, przeważnie ludzie starzy i osiwalni, potrząsając w takt owemi widelkami, wydają cemi dźwięk metaliczny, przechylają się rytmicznie w hieratycznym tańcu, pochylają się jakgdyby w ukłonach i znowu prostują swe postacie. To znowu mijają się, przechodząc z jednej strony barwnego chodnika na drugą, niby pary w kontredansie. Trudno oderwać oczy od tego widoku. Jest w nim coś hypnotyzującego. Oto jak jeszcze, po dziś dzień, chwali się w Axum chrześcijańskiego Boga...

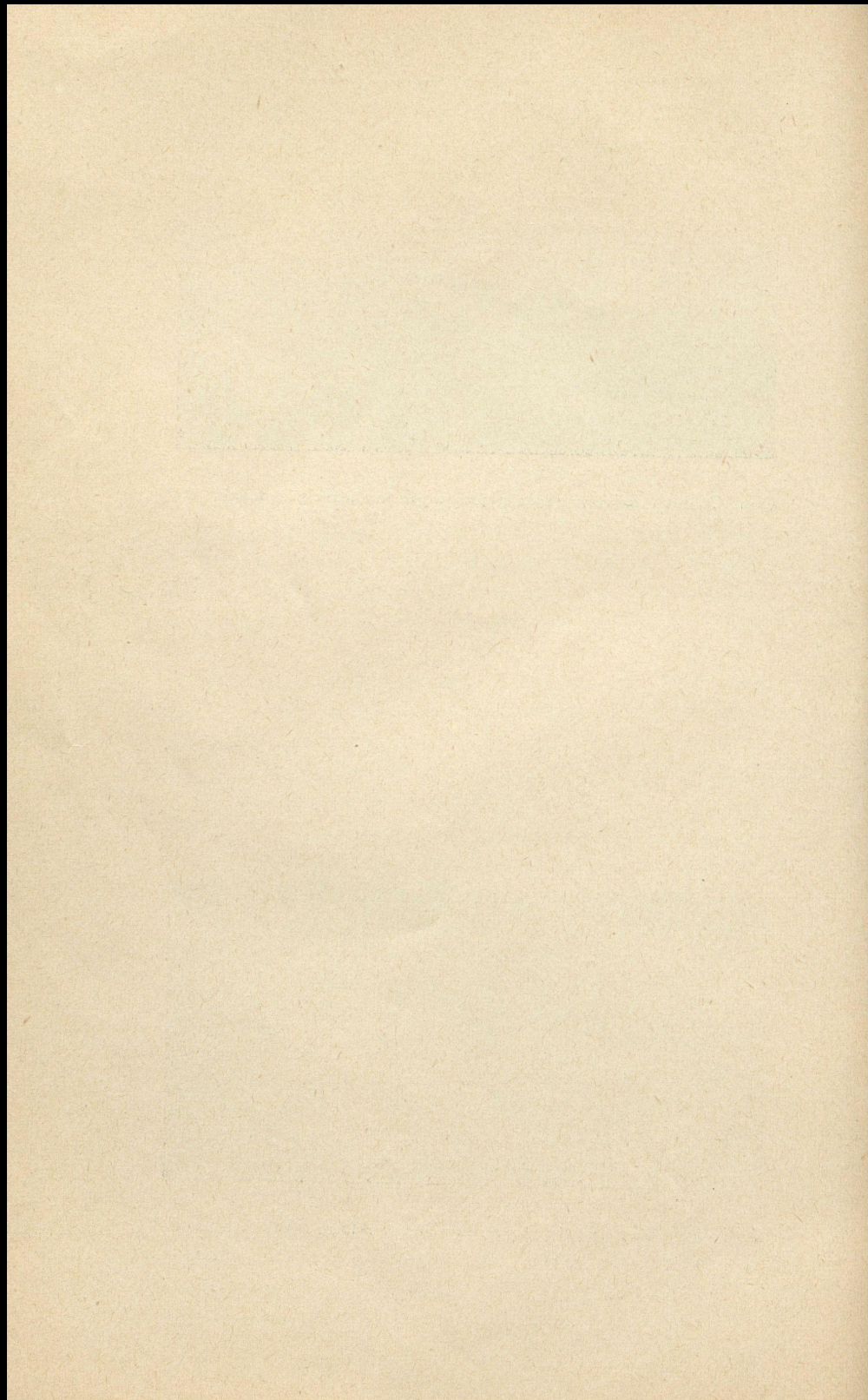
Ale taniec kończy się wreszcie. Towarzyszący nam włoski komendant miasta przyzywa do siebie koptyjskiego biskupa i przez tłumacza rozpoczyna z nim rozmowę. Abuna oświadcza, że kler koptyjski jest zadowolony, iż Rzym, będący również



Gen. Graziani dokonywa przeglądu wojsk na froncie południowym



Budowa odwadniającego kanału w Afryce Wschodniej



świętem miastem i matką wszystkich kościołów świata, wziął Axum i Enda Mariam pod swoją opiekę.

Czy mówi to szczerze? Patrzę uważnie w oczy starego człowieka. Spojrzenie ich jest czujne, lecz nieodgadnione — prawdziwe spojrzenie człowieka Wschodu. Zdaje się jednak, że kler koptyjski ma powody do zadowolenia, ponieważ chiwy ras Sejum nie oszczędzał kleru i gnębił go wielkimi podatkami. Rzecz prosta obecnie stan ten uległ zasadniczej zmianie.

Komendant miasta zapewnia dostojnika kościoła koptyjskiego — czyni to chyba nie po raz pierwszy — że kult koptyjski i zwyczaje religijne zostaną w zupełności utrzymane i w nim nie będą ograniczone. Następnie prosi o pokazanie nam świątyni.

Biskup zgadza się, ale wchodzimy tylko do pokrytego małowidłami przedsionka. Dalej — według liturgicznych zwyczajów koptyjskich — dozwolony jest wstęp tylko księżom. Kościół Enda Mariam jest szczególną świętością abisyńską, już choćby dlatego, że przechowywane są w nim tablice dziesięciorga przykazań i Abisyńczycy wierzą, że są to tablice autentyczne. Te same, które na górze Synaj otrzymał Mojżesz od Jehowy....

Opuszczamy Enda Mariam, jakgdybyśmy opuszczali ubiegłe wieki — z wrażeniem, że czas cofnął się na owe pół godziny, przenosząc nas w jakieś zamierzchłe lata. A jednak czujemy, — mimo słów włoskiego oficera, że wybiła już godzina świętego miasta Axum, że pomimo wszystko nie będzie mógł się ostać wobec pochodu cywilizacji, ani ów taniec duchownych, ani owe półpogańskie obrzędy koptyjskie, ani trędowaci przed świątynią.

A trędowaci czekają przed drewnianą bramą, wiodącą do cichego ogrodu. Siedzą na stopniach schodów, odziani w przybrudzone płachty, z żebraczemi kijami w dłoniach — nieszczęśnicy, przeklęci, z gliniasto-żółtymi plamami na czarnych, żartych chorobą twarzach. Patrząc na nich jest się przeniesionym jakby w inny świat. Wyglądają, jakgdyby żywcem wyjęci z biblijnej historii. Tacy sami, w takich samych płachtach, musieli być tamci trędowaci — w Palestynie, przed dwudziestoma wiekami. I ma się wrażenie, że lada chwila pojawi się Ktoś, Kto dotknie ich dobrotliwą, łaskawą dłonią, przynosząc im uzdrowienie....

W zastygłe milczenie świętego miasta wpada sygnał samochodu. Odjeżdżamy, unosząc z sobą wspomnienie płasającego kleru. Wspomnienie to będzie nam długo towarzyszyło.

Bawiąca się przed tukulami abisyńska dzieciarnia, pozdrawia nasze auta faszystowskim ukłonem....

XIII.

Najdalej wysunięty na południe posterunek włoski w kierunku rzeki Takazze.

Jedzie się tam z „świętego miasta“ samochodem — szosą, wytrzebioną w afrykańskim buszu. Po obu stronach drogi rosną — popłątane, w trudny do przebycia gąszcz — niskie karłowate krzewy, rośnie smutna euforbja na zboczach niskiego pogórza, miejscami wznoszą się, dające cień, olbrzymie, prastare sykomory, o pniach często tak grubych, że trzeba by kilku ludzi, by je opasać rękoma, lub też prażą się w słońcu baobaby, niemal bezlistne o tej porze roku.

W czasie naszej jazdy spotykamy ustawione w owym gąszczu liczne zapory z kolczastego drutu, zasieki biegnące gdzieś w dal — w prawo i w lewo, którym nie widać ani początku, ani końca. Spotykamy też liczne patrole włoskie, przedzierające się przez busz, to w tym, to w innym kierunku. Przeszukują teren, który przebywamy — teren, na którym dobiega końca akcja paacyfikacyjna.

Im bardziej oddalamy się na południe od Axum, teren staje się coraz trudniejszy. Podnosi się nieustannie, aż wreszcie samochody zatrzymują się.

Odbywanie dalszej drogi autem staje się niemożliwością. Ostatni posterunek włoski w kierunku rzeki Takazze znajduje się na pozycji naprawdę doskonałej. Jest to jakgdyby gniazdo sępów skalnych, dominujące nad okolicą. Tu już zawodzą europejskie środki komunikacyjne. Opuszczamy samochody i dosiadamy mułów, poczem karawana zaczyna piąć się w górę, wąską, kamienistą ścieżką. Dowóz amunicji i żywności odbywa się tu również przy pomocy jucznych mułów. Ścieżka wiję się stro-
mo po zboczu, muły kroczą uważnie — baczne, wychodzące zwycięsko z najbardziej karkołomnych momentów.

Wreszcie jesteśmy na miejscu. Docieramy do posterunku Mai Zagra, gdzie pełnią służbę czarne bataljony erytrejskich

askari, pozostających pod dowództwem włoskich oficerów. Jest właśnie pora obiadowa i możemy obserwować niczem nieskrępowane życie obozowe. Apropozycja mięsna askarich dokonywana jest w ten sposób, że bydło doprowadzane jest aż do tego posterunku.

Właśnie czarni wojownicy — wolni od służby — zabili wołu, którego skóra, żałośnie rozciągnięta na ziemi, suszy się w promieniach słońca. Askari poćwiartowali zabite zwierzę z wprawą zawodowych rzeźników i przygotowują strawę dla siebie i dla kolegów czuwających na pozycjach. Na szczycie góry płoną liczne małe ogniska — jedni z askarich obracają prowizoryczne rożny, sporządzając pieczeń, inni tną mięso w długie wąskie paski i wędzą je w dymie. Dla ich czarnych podniebień musi to być niewątpliwie przysmak nader pożądanym, ciemne bowiem i oliwkowe twarze zdradzają nieklamane zadowolenie. Życzymy im w duchu dobrego apetytu, dalecy jednak od brania udziału w tej lukullusowej uczcie.

Przed nami — wdole — leży tak dobrze już znany typowy krajobraz tych okolic. Biegnie wdał, hen, ku rzece Takazze — pofałdowana równina, poprzecinana garbami wzgórz. Owa ziemia to teren jeszcze niespacyfikowany — teren, na który zapuszczają się mniejsze lub większe włoskie patrole, staczając utarczki z abisyńskimi watahami.

Dowódca bataljonu askarich, który nas gości, ma zresztą nadzieję, że już w najbliższych dniach porzuci „sępie gniazdo“ i posunie się dalej — ku rzece.

Siedzimy w szalasiu, skleconym z gałęzi, przy nieodłącznym „spaghetti“ i przy butelce chianti, którą — by nas uraczyć, jak może — wyciągnął gościnny pan major ze swego szczupłego zapasu. W prostych słowach opowiada nam o walce, jaką stoczył pod Ad Gaga w same święta Bożego Narodzenia. Nie ma słów na wyrażenie pochwał dla swych czarnych żołnierzy. Tłumaczy też dlaczego właśnie tam, gdzie walczą wojska kolonialne, ginie tylu białych oficerów. Oto przykład osobistego męstwa posiada dla psychiki askarich olbrzymie znaczenie i dla tego włoscy oficerowie idą zawsze w pierwszych szeregach, a ponieważ umundurowanie ich jest odmienne od uniformów kolońskich żołnierzy i odcina się ostro w terenie — Abisyńczycy łatwo poznają dowódców i kierują na nich swój ogień.

Opowiada też, że po krwawej, całodzienniej bitwie pod Ad Gaga, Abisyńczycy, pierzchając, pozostawili na polu walki zabitego, białego człowieka, który walczył po ich stronie. Zabity odziany był w mundur koloru „khaki“, jednakże nie znaleziono przy ciele żadnych papierów, ani też niczego, co ujawniłoby tożsamość poległego. Nazwisko owego białego, który zdradził własną rasę — pozostanie nazawsze tajemnicą....

Po godzinnej wizycie niosą nas znowu cierpliwe muły. Tym razem wdół — ku oczekującym nas samochodom. Jedziemy obecnie z wizytą do „Czarnych Koszul“.

Podczas, gdy dywizje wojsk regularnych oznaczane są nazwami geograficznymi miejscowości lub prowincyj włoskich — dywizje „Czarnych Koszul“ noszą nazwy chronologiczne, czerpane z ważnych i charakterystycznych dat z historii faszyzmu.

Dywizja, której byliśmy gośćmi, nosi nazwę „21 Kwietnia“. Tu przyjęcie zagranicznych dziennikarzy przechodzi wszelką miarę serdeczności i gościnności. „Czarne Koszule“ demonstrowują nam obronę wzgórza przed rzekomym abisyńskim atakiem, poczem szwadron spahisów, sprowadzonych z Libji i przydzielonych do dywizji — popisuje się „fantazją“ arabską, pokazując nam niebywałą wprost sztukę konnej jazdy, wkraczając już w dziedzinę cyrkowej akrobacji.

W czasie zarządzonej zbiórki „Czarnych Koszul“ uwagę naszą zwraca mały, śliczny chłopiec, przybrany w strój przepisykowy. Stoi on na prawem skrzydle oddziału i podobnie, jak dorosli, wita odbywającego przegląd dowódcę podniesieniem w górę faszystowskiego sztyletu.

Ten malec zdobywa z miejsca nasze serca. Przywołany odpowiada śmiało i rezolutnie, poddając się z wyrozumiałością atakowi fotograficznych aparatów.

Nazywa się Lorenzo Fusco. Ma zaledwie lat trzynaście. Pochodzi z małego miasteczka, z okolic Neapolu. Ojciec jego przed kilku laty wyjechał do Ameryki i pracuje w jakiejś tam fabryce w Nowym Jorku. Niedawno Lorenzo Fusco stracił matkę i pozostał sam, a że jest członkiem „Balilli“, skoro wybuchła wojna, uparł się, że z „Czarnymi Koszulami“ pojedzie do Afryki. No i — dokazał swego! Uzyskał specjalne pozwolenie „duce“ i pojechał. Czy trzeba dodawać, że jest oczkiem w głowie całej dywizji?...

Mieszka w namiocie, jak wszyscy. Dzieli z dorosłymi trud obozowego życia. Jest zdrow i w doskonałym humorze. Słońce tropiku na bronz opaliło jego dziecinną jeszcze twarzyczkę — ale cóż tam! — to drobiazg! — najważniejsze, że jest w Afryce Wschodniej, że bierze udział w owej wojnie, że jest tu — podczas, gdy jego koledzy w szkółce małego włoskiego miasteczka borykają się z trudnościami arytmetycznych zadań. On tymczasem pisze do nich co tydzień listy i donosi im, że powodzi mu się dobrze, że — na wojnie, jak na wojnie... do niejednego trzeba się przyzwyczaić. Opowiada nam z przekonaniem, że wielu z jego kolegów też by tu zaraz przybyło, tylko — niestety — nie chcą im jakoś pozwolić.

Taką to młodzież wychowuje faszyzm. Czy należy wątpić, że wyrosną z niej mężczyźni fanatycznie zapatrzeni w wielkość Italji — gotowi dla niej na wszystko? Niedarmo uczy się tę młodzież od najmłodszych lat, że słowo „niemożliwe“ nie istnieje w języku Włochów.

XIV.

Piszę teraz pochwałę robotnika włoskiego.

Czy to jadąc samochodem z Asmary do Massaua, czy też udając się na zajęte przez włoskie wojska terytorja — spotyka się ich na każdym niemal kroku. Spotyka się inną armję — armję bez karabinów i mitraljez — armję, uzbrojoną w taczki, łopaty i oskardy — armję, która pomimo owego uzbrojenia — w wojnie włosko-abisyńskiej oddaje bezcenne usługi — bez której, wszelka akcja włoska w Afryce Wschodniej byłaby niemożliwa i zgóry skazana na niepowodzenie.

Piszę tu pochwałę robotników włoskich, budujących szosy i drogi.

Są ich w Afryce mnogie tysiące, a przyszły historyk owej wojny kolonialnej, która do głębi poruszyła świat — będzie musiał właściwie ocenić ich wspaniałe zasługi. Dzięki robotnikom włoskim, przeorywującym bezdroża afrykańskie, olbrzymia armja włoska jest należycie zaopatrzona, dzięki nim umożliwiona została sprawna obsługa frontu, dzięki nim, pierwsze linje włoskie nie odczuwają braku amunicji, dzięki nim wreszcie, bracia ich — żołnierze włoscy — nie zaznają głodu i braków.

Gdy jedzie się szosami, które budują w pocie i trudzie wśród dziewiczych, nieraz — zdawałoby się — niedostępnych te-

renów — co kilkaset metrów spotyka się ich przy pracy. Umacniają zbudowane już drogi, usuwają rzucone prowizorycznie naszutrowanie i kładą asfalt na nieznaną go dotąd ziemię, lub pokrywają odcinki szosy bituminą.

Wszyscy w ochronnych hełmach tropikalnych — często półnadzy do pasa — o torsach silnych, na bronz spalonych niełitościwem słońcem — przerywają na chwilę swą pracę i witają mknące samochody podniesieniem spracowanych rąk. Mieszkają w małych namiotach i szałasach, lub w zbitych pośpiesznie z desek barakach, ciągnących się tuż przy drogach, które budują. Przy każdej takiej grupie namiotów, czy baraków mieści się zwykle sklepik z konserwami mięsnymi i owocowymi, z piwem i orzeźwiającymi napojami. Przejeżdżając wieczorem, mimo ich skromnych pomieszczeń, słyszy się często chóralne śpiewy, lub dźwięki gramofonu, zawleczonego włąb Afryki. Znużeni całodzienną pracą — zabawiają się, jak umieją i jak mogą, gasząc swą tęsknotę za krajem macierzystym i za rodzinami.

Robotnicy włoscy, udający się do Afryki Wschodniej, podpisują sześciomiesięczne kontrakty. Ze względu na morderczą, niszczącą pracę w afrykańskim klimacie, płace są stosunkowo bardzo wysokie. Robotnik, pracujący na płaskowyżach, gdzie warunki klimatyczne są łżejsze, otrzymuje dziennie 25 lirów, w tropiku zaś — w upalnych ponad miarę nizinach i w buszu afrykańskim — 40 lirów dziennie. Skoro weźmiemy pod uwagę te stawki, zrozumiemy dlaczego — między innymi — koszty afrykańskiej wyprawy są tak wysokie. Z dniówki robotnik włoski musi opłacić jedzenie i ubezpieczenie, co wynosi dziennie około 5 lirów. Reszta jest jego czystym zarobkiem. Aprowizacja naturalnie liczona jest więcej niż półdarmo.

Organizacyjnie robotnicy włoscy podzieleni są na centurje, pozostające pod komendą oficerów inżynierji wojskowej. W miarę potrzeby centurje te łączą się w większe ekipy. Obok centurj robotniczych, w okolicach przyfrontowych pracują saperzy, których wysiłek jest również godny podziwu.

Wysokie stawkiienne, jakie pobiera robotnik włoski w Afryce, stają się zrozumiałe, skoro weźmie się pod uwagę warunki, w jakich robotnicy wykonywują swe zajęcie.

Jedni z nich wśród gór, kotlin i przepaści ryć muszą po prostu drogi tam, gdzie jeszcze niedawno nie śniło się nikomu, by można było przeprowadzić automobilową szosę, przez którą

dniem i nocą przeciągać będą kolumny ciężarowych samochodów, obładowanych towarami. Biją oskardy o kamienistą opozkę — każdy metr, każdy decymetr drogi trzeba — zda się — pazurami wyorywać w skalistym gruncie, trzeba rozsadzać minami oporne skały. A nadewszystko — trzeba się spieszyć.

I oto tam, gdzie wśród poszarpanych gór plenił się niskopienny kaktus, gdzie nędzna roślinność pokrywała zbocza, powstaje droga — mocna, dobra szosa o karkołomnych przeważnie zakrętach, ale z tego znowu nic sobie nie robią doskonali włoscy szoferzy, którym każda żonglerka zwyczajna.

Ileż wysiłku kosztuje każdy metr takiej szosy. W dzień upał spala i wyciska pót z czoła, brak tlenu na wysokościach ponad dwa tysiące metrów osłabia płuca i serce, — a w nocy, do namiotów robotniczych, wkrada się dojmujący chłód, przed którym trudno się obronić.

Inni pracują w tropiku. Trzebią busz abisyński i przecinają go szosami. W klimacie, o którym sądzono, że europejszy człowiek może w nim zaledwie wegetować, nie tylko żyją, ale wykonują najtrudniejszą fizyczną pracę, jaką sobie można wyobrazić. Przerzucają mosty przez puste koryta rzek, — dziś wyschłe — w porze deszczowej rwące wartkim potokiem wezbranych wód. Na rzece Mareb wznoszą wielki most żelaznej konstrukcji i z dumą patrzą na swe dzieło.

Tu — w tropiku — duszny upał nie daje im wytchnienia, ani w dzień, ani w nocy. A oni pracują. Pracują w godzinach południowego skwaru, gdy słońce praży piekielnie, gdy w puszczy zamiera życie, gdy owady uznożone spiekotą, chowają się w jakichś sobie tylko wiadomych kryjówkach, gdy szuka cienia wszelka żyjąca istota, gdy panuje cisza w tych krainach wiecznego słońca, gdy nawet ptak odpoczywa i rzadko tylko — spłoszony czymś — podrywa się z gałęzi, zakolysze się, zachyboce, uderzy skrzydłami, by znowu opaść i zaszyć się w cieniste zarośla....

Pracują nawet wtedy, bo wiedzą, że każda godzina jest droga dla Italji. Pracują, a przytem mają zawsze uśmiech dla tych, którzy mijają ich w autokolumnach, korzystając z ich pracy. Pomimo tak ciężkich warunków, pomimo, że klimat zbiera wśród nich liczne ofiary — panuje w ich szeregach godny pozdriu nastrój patryjotyzmu i entuzjazmu. Ta wojna — to ich wojna. Oni dobrze wiedzą poco tu przyszli — wbrew całej Europie.

— — — — —
Piszę teraz pochwałę faszystowskiego robotnika włoskiego....

Cofnijmy się nieco wstecz. Przypomnijmy sobie, jak to było na przełomie XIX i XX wieku. Przypomnijmy sobie, że gdy chodziło o jakiś wywrotowy, anarchistyczny spisek, o zamach terrorystyczny, o to, czy inne królobójstwo — zawsze można się było spotkać z nazwiskiem włoskiego robotnika. Czyż trzeba mnożyć przykłady? Robotnik włoski był w ówczesnym pojęciu synonimem czynnika wywrotowego i do głębi zanarchizowanego. Dziś uległo to całkowitej zmianie.

Faszyzm wytrzebił z robotnika włoskiego wszelką antypaństwowość i aspołeczność. Uczynił z niego jednostkę oddaną całkowicie faszyzmowi, wysoce patriotyczną, przywiązaną do dynastji i do „duce“. Robotnik włoski nie wlecze się bynajmniej w ogonie faszyzmu jako jego bezwolna ofiara. On jest jego awangardą, a zarazem otoczony jest tak pieczołowitą opieką państwa, że nie potrzebuje wcale nieproszonych socjalistycznych i masońskich obrońców, jakich znajduje tak często poza granicami Włoch.

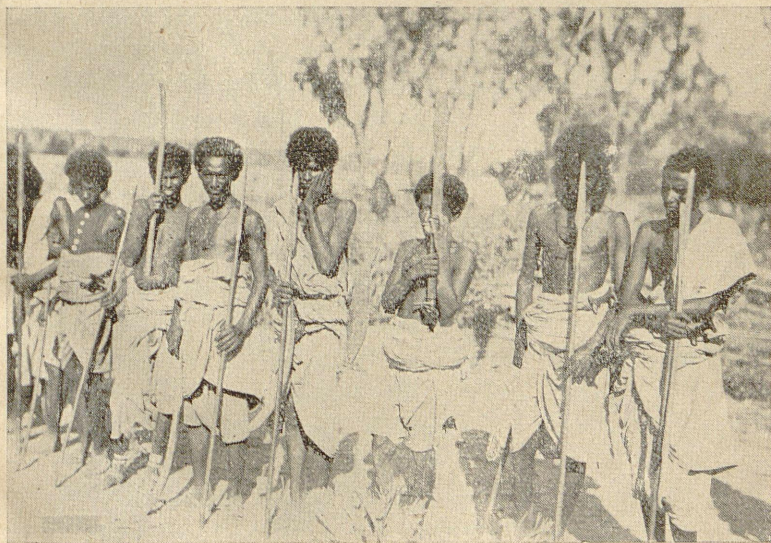
Widziałem te rzeczy na własne oczy, rozmawiałem z wieloma robotnikami włoskimi, budującymi szosy w Afryce i mogę stwierdzić, że otoczony jest on w swej ciężkiej pracy największą dbałością o zdrowie i życie, że entuzjazm jego nie jest ani robiony, ani sztucznie podtrzymywany. Sądzę, że każde państwo, a wśród nich i Polska — mogłoby być zadowolone, posiadając robotnika tak uświadomionego narodowo, o tak wysokim obywatelskim poczuciu i tak ogromnej ofiarności dla państwa.

Gdy spotkacie kiedyś robotnika włoskiego, który wam powie, że pod słońcem Erytrei i Abisynji budował szosy w Afryce Wschodniej — uściśnijcie mu dłoń z szacunkiem.

To prawdziwy bohater pracy.



Robotnicy włoscy pracują przy budowie dróg w Afryce Wschodniej



Wojownicy Abisyńscy



NAJAZD CYWILIZACJI

I.

Dziś jest jeszcze wojna.

Jeszcze na frontach czuwają gniazda karabinów maszynowych, jeszcze przemawiają baterje dział, jeszcze warczą śmigła samolotów, jeszcze szumią nad górami i przepaściami, nad kotlinami Abisynji potężne skrzydła włoskiego lotnictwa.

Jest jeszcze wojna, a już za plecami frontu widoczne są pierwsze kroki owej cywilizacji, której wrota otwiera włoska penetracja.

A więc w pierwszym rzędzie zniesiono w całej prowincji Tigre niewolnictwo, uznane niejako prawnie w całej Abisynji i faworyzowane przez koptyjskie wyznanie. Zniesiono niewolnictwo jednym pociągnięciem pióra, bo tam, gdzie powiewa flaga włoska nie ma niewolników, jak pięknie mówią słowa dekretu podpisanego przez marszałka de Bono.

Od pierwszej chwili, od momentu, kiedy pierwsze patrole włoskie przekroczyły rzekę Mareb, władze włoskie spieszą z pomocą miejscowej ludności. Podczas, gdy po całym świecie rozlała się fala obelg i oszczerstw, rzucanych pod adresem „najeźdźców” — najeźdźcy owi rozdają żywność pomiędzy przymerających głodem, niosą opiekę lekarską chorym. Powiadomiono tubylców, że każdy włoski szpital polowy w każdej chwili udzieli im chętniej i bezpłatnej pomocy. Z dnia na dzień niemal łamią się lody nieufności pomiędzy białym najeźdźcą, a czarnym, głodnym i chorym nędzarzem.

A mieszkańcy zajętych terytoriów przekonywują się ku swemu zdziwieniu — bo przygotowywano ich na coś zupełnie innego — że w cieniu trójkolorowej włoskiej flagi zaczyna się dla nich jakieś inne, lepsze życie, życie, które może przeczekać, a na które nie było miejsca pod rządami krwawych abi-

syńskich wielkorządców. Przekonywują się, że owe nowe prawa, niesione im przez wojska włoskie i przez dywizję „Czarnych Koszul“ są lepsze od praw dawnych. Lepsze od praw abisyńskich.

Widzą, że nikt nie pali, nie niszczy i nie rabuje ich nędznych tukulów, że nikt nie odrąbuje rąk i nóg jeńcom wojennym, że nikt nie znęca się nad rannymi, znalezionymi na polu walki, że ów nowy porządek ma zupełnie inne oblicze, niż mogli się spodziewać.

I dlatego jeszcze niezupełnie pewni, czy się nie mylą, jeszcze nieufni, a zarazem pełni nadziei, meldują się do włoskich dowódców naczelnicy wiosek, naczelnicy szczepów i plemion i oświadczają, że chcą w zgodzie i w spokoju żyć z nowymi władcami kraju.

Na zajętych przez Włochów terytoriach nie widać zupełnie, że przeszedł przez nie walec wojny. Tubylcy dawno już wrócili do swych własnych zajęć. Spokojnie pasie się bydło na pastwiskach, spokojnie uprawiają rolę swymi prymitywnymi sposobami.

Organizują się też już w prowincji Tigre pierwsze szkoły, do których uczęszczać zaczyna czarna dzieciarnia. W większości wypadków zakładane są one przez katolickie zakony, dla których otwiera się w Abisynji niezmierzone wprost morze pracy. Dzieci tubylców, czysto umyte i poubierane, po raz pierwszy na owych ziemiach stykają się z europejską kulturą i dowiadują się rzeczy, o których nie śniło się nawet ich ojcom.

To młode pokolenie rozumiało wogóle od początku i rozumiało najlepiej, że nikt nie chce czynić im krzywdy. Znany jest ów wielki kult dla dziecka, jaki faszyzm wszczepił we Włochów. W każdej rodzinie włoskiej dziecko jest pierwszą osobą w domu. Ta słabość dla dziecka, obserwowana na każdym kroku w Italii, sprawia, że włoscy żołnierze i oficerowie odnoszą się nad wyraz przyjaźnie do małych czarnych djabłów o wygolonych łebkach.

Tubylcze dzieci instynktem wyczuły tę przyjaźń i zdarza się często, że znają już dobrze godzinę i we właściwej porze przychodzą ze swych wiosek do namiotów wojskowych, by jeść razem z żołnierzami, którzy chętnie dzielą się z nimi swym posiłkiem.

A czy wreszcie nie są szlakami cywilizacji owe drogi, budowane w Afryce Wschodniej przez robotników włoskich? Dziś

służą one jeszcze celom wojny, ale niedaleki jest dzień, kiedy przejdą wyłącznie w służbę pokoju. Czyż nie są jakgdyby awangardą cywilizacji i kultury owe słupy telegraficzne i telefoniczne, biegnące przez całe zajęte terytorjum do Macalle, do Aduy, do Axum i dalej?

Gdy kwestja abisyńska zostanie załatwiona i Włosi będą mogli na zajętych terytorjach rozpocząć normalną pracę kolonizacyjną i kulturalną, niewątpliwie rozwój cywilizacji ujęty zostanie w system, który jeszcze więcej dobrego przyniesie tubylczej ludności. A jest tam tak wiele do zrobienia, że ów wysiłek cywilizacyjny może Italia rozłożyć na lata i dziesiątki lat. Podniesienie stanu zdrowotnego ludności tubylczej, trzebionej chorobami, tonącej w brudzie i niechlujstwie, odizolowanie trędowatych, wypalenie pierwotnych obyczajów, danie ludzkich warunków bytu tysiącom oswobodzonych niewolników, zwalczanie zgubnych koptyjskich zabobonów, stojących na straży ciemnoty, materialne podniesienie czarnych — to wszystko składa się na ogrom pracy niemniej ważnej, jak uczynienie żyznemi bezwodnych i pustynnych obszarów, jak wydobycie z łona ziemi bogactw naturalnych, które kraj ten niewątpliwie posiada.

Obok potrzeby kolonii, niemniejszy jest cel moralny abisyńskiej wyprawy, cel głęboko przenikający duszę armji i społeczeństwa włoskiego. Celem tym jest zanieśenie cywilizacji do owego kraju ciemnoty i nędzy. Cywilizację tę niosą wprawdzie włoskie bagnety, ale gdy przerzucimy stare, zbutwiałe karty historii, zobaczymy, że zawsze i wszędzie oręż niósł cywilizację tam, gdzie inne drogi i sposoby beznadziejnie zawodziły.

Każdy, kto ujrzałby współczesną Abisynję, zrozumiałby bez trudu, że włoska wyprawa do Afryki Wschodniej jest tylko nowym odcinkiem owej misji cywilizacyjnej, jaką biała rasa spełnia w stosunku do ras młodszych i mniej zdolnych. Tą misją cywilizacyjną okupuje właśnie biała rasa prawo rządzenia tamtymi niższemi rasami.

Czy faszystowska Italia misję tę spełni? O n a j u ż j ą s p e ł n i a. Godła faszystowskie niosą szczepom abisyńskim cywilizację, tak, jak wybrzeżom Morza Śródziemnego niosły ją przed wiekami złote orły legionów rzymskich.

II.

Świat jest przeciwko Włochom. Był nim przynajmniej w owej chwili, kiedy przedstawiciele pięćdziesięciu kilku państw uchwalali sankcje przeciwko Italji, gdy piętnowali wielkie państwo i wielki naród, zaślepieni fałszywą wiarą, że pracują na rzecz pokoju, na rzecz braterstwa narodów, na rzecz idei Ligi, podczas, gdy w rzeczywistości padali ofiarą perfidnej gry, dokonywanej przez mocarstwo, które miało na względzie tylko swe własne osobiste interesy, które na krwawych podbojach zbudowało swą potęgę i które patrzyło w ubiegłych latach zimno i obojętnie na inne zabory, na pożarcie Chin przez Japonję, na wojnę o Gran Chaco w Ameryce Południowej, bo w obu tych wypadkach nie szło o drogę do Indyj.

Jakieżże dziwnej psychozie ulegają wszyscy ci, którzy odczuwają do Włochów niechęć lub nienawiść, którzy fałszywym frazesem wyrażają swą solidarność z krajem ponurej grozy i krwawego okrucieństwa. Jaka to miara pozwala im postawić Abisynję na równym poziomie z Italją? Czy nie znają oni godności swej rasy, czy wobec częstych twierdzeń o dekadencji rasy białej nie umieją dopatrzyć się we włoskiej wyprawie do Afryki Wschodniej żywego dowodu, że dni tej rasy jeszcze nie przeminęły, że w nacjonalistycznej ekspansji Włoch przejawia ona nowe zasoby energii i siły?

Jaką to wagę ma Abisynja na szali rozwoju świata, na szali cywilizacji, na szali kultury? Jaką ma wagę w porównaniu z Italją, która przez wieki całe była ogniskiem, promieniującym na całą Europę? Z Italją starożytnych Rzymian, która pozostawiła po sobie nieśmiertelne dzieła, dzieła cywilizacji i kultury, z jakich wszystkie po dziś dzień pokolenia czerpały i czerpią pełnemi garściami, z Italją Odrodzenia, z Italją — świątynią sztuki, z Italją, ojczyzną Michała Anioła, Dantego i Petrarki? W jaki to sposób, my, Polacy, my, którzy w tak ogromnej mierze czerpaliliśmy ze skarbnic owej starorzymskiej i włoskiej kultury, my, których poprzez ciąg wieków łączyła z Italją niezłamana przyjaźń, — w jaki to sposób możemy dzisiaj umieszczać nasze uczucia i sympatje po abisyńskiej stronie?

Czyżby przekroczenie rzeki Mareb przez włoskie patrole, czyżby zatknięcie flagi włoskiej na wzgórzach Macalle, czyżby triumfalne skąpanie jej w wodach jeziora Tana — miało przekre-

ślić za jednym zamachem wszystkie wartości włoskiej kultury? Czyżby świat miał bronić obecnie zaniesieniu przez faszystowską Italię wgląd Czarnego Lądu owej kultury, którą chłonął i którą czerpał wszystkimi porami, czyżby stawał w obronie ciemnoty, przeciwko tej wspaniałej cywilizacji, z której czerpał i którą sam długo przetwarzał?...

Ale nietylko wchodzi tu w grę kwestje cywilizacyjne i kulturalne. Włochy związane są z resztą Europy całym kompleksem gospodarczych i politycznych interesów. Nikt dziś nie może bez Italji Mussoliniego decydować o losach świata. Dlatego nie udało się usunięcie Włochów z Europy, dlatego nie odniosła skutku wielka ekskomunika rzucona na faszystowską Italię przez Ligę Narodów i jej masonskie i socjalistyczne przybudówki, dlatego przeliczyła się w swych rachunkach Anglja i Łyka dziś gorycz największego poniżenia, jakiego doznała w ciągu wieków. Okazuje się coraz jaśniej, jakim nonsensem były sankcje, okazuje się coraz wyraźniej, że straciły one wszelki sens, jak musi stracić wszelki sens każde poczynanie, które bierze początek z fałszywych moralnych przesłanek.

A skoro nie udało się faktycznie usunąć Italji z kompleksu spraw europejskich, należałoby sobie życzyć, by jaknajprędzej ów stan faktyczny został stwierdzony formalnie. By skończyła się kompromitacja sankcyj i deklamacje o „napastniku“, by Włochy zasiadły znowu do europejskiego stołu obrad, jako równouprawniony i godny szacunku partner.

III.

I Italja i Polska są państwami młodem, i Włosi i Polacy są młodem narodem, narodem, których prężność i których dynamika nie będzie malała, lecz rośla, narodem, które z każdym rokiem rozszerzać będą horyzonty swych dążeń i coraz to więcej będą mieć do powiedzenia. Już z tego samego faktu wpływa głęboka duchowa łączność pomiędzy Polską, a Italią, łączność, która będzie stawać się tem trwalsza, im żywszy będzie w Polsce nurt narodowego odrodzenia.

Jesteśmy młodem państwem i młodym narodem, żadne z mocarstwowych dążeń nie będzie nam obce, nie będziemy uznawali żadnych rezygnacyj i żadnych wyrzeczeń.

30.
1709/20004

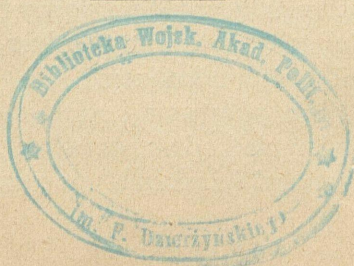
Zagadnienia kolonjalne mglisto jeszcze i niewyraźnie rysują się przed nami. Dla wielu są egzotyczną mrzonką, są tylko śmiesznym marzeniem, obcem zupełnie polskiej psychice. Nie trzeba jednak zapominać, że przed niewielu jeszcze laty, równie obce polskiej psychice były kwestje najbardziej dla nas żywotne — były kwestje własnego morza — własnych portów, własnej wojennej floty, kwestje zaniesienia polskiej bandery na dalekie szlaki morskie i na dalekie oceany. A przecież dziś psychika ta ulega już zasadniczej zmianie, łamie się ignoracja i do zagadnień morskich podchodzimy z coraz to większym zrozumieniem i z coraz praktyczniejszej strony.

Tak samo będzie również z zagadnieniem kolonjalnym. Będzie ono narastać z roku na rok, aż stanie przed nami w całej swej aktualności.

Jakże podobne są nasze warunki do warunków, w których znajdują się Włochy. I my mamy gwałtowny przyrost ludności i my mamy zamknięte granice dla emigracji i my musimy szukać pracy i chleba dla nadwyżki ludności i my będziemy chcieli — jeżeli nie jutro, to pojutrze — korzystać w równej mierze z kolonjalnych surowców, z jakich korzystają inne państwa. Zagadnienie kolonii przybierać będzie na ostrości.

Przypomnimy sobie może wtedy, że to nie kto inny, jak Italia przez stworzenie kwestji abisyńskiej, wyciągnęła na światło dzienne kwestję niesprawiedliwego podziału kolonii i niesprawiedliwego rozdziału surowców. Ta kwestja musi być załatwiona, a trzeba by nie była załatwiona bez nas.

Zajmując nasze stanowisko wobec włosko-abisyńskiego konfliktu, musimy pamiętać o tem, że niedaleka jest może chwila, kiedy zapytamy świat słowami Mussoliniego, czy jest rzeczą słuszną i sprawiedliwą, by jedni posiadali wszystko, a drudzy — nic.



2/
46632/

